

5 - 6/90

SŁOWO I ŻYCIE



W NUMERZE

CO MAMY CZYNIĆ...	3
KAZANIE APOSTOŁA PIOTRA	5
CZŁONKOWIE KOŚCIOŁA	7
EWANGELICZNE PRZEBUDZENIE...	9
WYWIAD Z ...	12
ZBÓR W GRYFICACH	16
LISTY DO REDAKCJI	17
W OKA MGNIENIU	20
CZŁOWIEK ZA STERAMI	22

Na początku jest SŁOWO. Słowo jest początkiem i kresem poznania Boga tu, na ziemi. Tylko ono daje wyczerpującą odpowiedź na odwieczne ludzkie pytania i dlatego jest zawsze aktualne i wiecznie żywe. Jest Dobrą Nowiną o życiu wiecznym, przebaczeniu, pokoju i społeczności z Bogiem. Jako „odrodzeni... przez Słowo Boże, które żyje i trwa” uznajemy je za ostateczny autorytet naszej wiary i postępowania. Dlatego właśnie Słowo Boże, to spisane, a przede wszystkim To, które stało się Ciałem, jest jedynym fundamentem, na którym pragniemy budować nasze czasopismo, określać jego profil i charakter.

W Nim jest ŻYCIE. Prawdziwe życie, dobre życie. Życie nie na darmo. „Nie samym chlebem żyje człowiek, lecz każdym słowem, które pochodzi z ust Bożych”. Słowo Boga jest dla nas źródłem i normą życia. Gdy pozwalamy mu przenikać do naszych serc, zmienia nas na podobieństwo Wcielonego Słowa, ukierunkowuje nasze działania, nadaje im sens. Wiedząc, że Słowo jest „światłem na ścieżce dla tych, którzy wierzą”, pragniemy zachęcać Czytelników do wprowadzenia Słowa w życie i pomagać im we wgłębieniu się w jego treść. Przede wszystkim zaś chcemy nieustannie wskazywać na Pana Jezusa Chrystusa, który sam jest przecież SŁOWEM Bożym i ŻYCIEM wiecznym.

U W A G A

Uprzejmie informujemy Szanownych Czytelników, że od stycznia br. posiadamy konto złotówkowo-dewizowe: **501145-9002582-136-1-1110**. Bank Polska Kasa Opieki S.A. **V Oddział w Warszawie**, Al. Jerozolimskie 65/79 00-950 Warszawa

Miesięcznik „Słowo i Życie” wysyłany jest bezpłatnie, jednakże jego wydawanie jest uzależnione od ofiarności Czytelników. Wszelkie ofiary na czasopismo prosimy kierować na konto złotówkowo-dewizowe Kościoła Zborów Chrystusowych: Bank Polska Kasa Opieki S.A. V Oddział w Warszawie, Aleje Jerozolimskie 65/79, 00-950 Warszawa, Nr 501145-9002582-136-1-1110, zaznaczając cel wpłaty na odwróceniu blankietu.

Wydawca: Kościół Zborów Chrystusowych.

Redaguje kolegium w składzie: Anna Bronowska, Piotr Bronowski, H. Ryszard Tomaszewski.

Opracowanie techniczne — Jan Wiśniewski.

Okładka — zdjęcie: Janusz Czarnecki.

Adres Redakcji i Administracji 02-620 Warszawa, ul. Puławska 114, tel. 44-06-25.

Materiałów nie zamówionych redakcja nie zwraca. Zastrzega sobie również prawo skracania i opracowania redakcyjnego tekstów nie zamówionych.

Druk „Intrografia” zam. 224/90

C O M A M Y C Z Y N I Ć, M Ę Ż O W I E B R A C I A ?

Zesłanie Ducha Świętego na grono uczniów Pana Jezusa opisane w drugim rozdziale Dziejów Apostolskich nie tylko uczyniło ich odważnymi świadkami faktu zmartwychwstania Pańskiego, ale przede wszystkim stało się początkiem nowej ery w dziejach ludzkości, początkiem Kościoła i Królestwa Bożego. Od tego momentu, zgodnie ze świadectwem biblijnym, rozpoczęły się „dni ostateczne” (Dz 2,17). W dniu Zielonych Świąt, zgromadzeni ludzie, słysząc przemawiającego z natchnienia Ducha Św. ap. Piotra „byli poruszeni do głębi”. Właśnie w tym głębokim rozrzuwaniu padło to ważne pytanie: „Co mamy czynić, mężowie bracia?”. Jesteśmy świadomi tego, że tam, gdzie Ewangelia dociera do serc ludzkich, na skutek działania Ducha Św., zawsze sprawia ona to głębokie poruszenie i skruczę oraz gotowość przyjęcia Bożych warunków zbawienia. Głoszenie Ewangelii nie jest bowiem wykładem przeróżnych, czasem dziwacznych doktryn poszczególnych wyznań, czy wspólnot religijnych, nie jest nawet „roztrząsaniem” jakiegoś zagadnienia biblijnego, bądź filozoficznego, lecz „Ewangelia jest mocą Bożą ku zbawieniu” (Rzym 1,16). Innymi słowy, jest prostą receptą zawierającą Boże warunki zbawienia. Przyjęcie Dobrej Nowiny (Ewangelii) oraz wypełnienie w posłuszeństwie jej Bożych wskazań jest niezawodnym środkiem ratunku dla ginącego grzesznego człowieka. Odpowiedź apostoła Piotra na postawione pytanie jest wspartym świadectwem prostoty Ewangelii i warunków, jakie stawia Bóg ginącemu człowiekowi. „Upamiętajcie się i niechaj się każdy z was da ochrzcić w imię Jezusa Chrystusa na odpuszczenie grzechów waszych, a otrzymacie dar Ducha Świętego” (w. 38). Wypełnienie dwóch warunków, o jakich mówi Biblia, mianowicie: upamiętanie się i przyjęcie chrztu, sprawia przebaczenie naszych grzechów i otrzymanie daru Ducha Świętego, czyli, inaczej mówiąc, sprawia nasze zbawienie! Chciałbym w tym miejscu zacy-

tować inne wersety Słowa Bożego określające w różnych aspektach te same warunki zbawienia:

„Ci tedy, którzy przyjęli słowo jego, zostali ochrzczeni... (Dz 2,41). „Przeto upamiętajcie się i nawróćcie się, aby były zgładzone grzechy wasze” (Dz 3,19).

„Kiedy jednak uwierzyli Filipowi, który zwiastował dobrą nowinę o Królestwie Bożym i o imieniu Jezusa Chrystusa, dawali się ochrzcić zarówno mężczyźni, jak i niewiasty” (Dz 8,12).

„Oto woda, cóż stoi na przeszkodzie, abym został ochrzczony? Filip zaś powiedział mu: Jeśli wierzysz z całego serca, możesz. A on odpowiadając rzekł: Wierzę, że Jezus Chrystus jest Synem Bożym. I kazał zatrzymać wóz i zeszedł obaj, Filip i eunuch do wody i ochrzcił go” (Dz 8,36-38).

„Bracie Saulu, Pan Jezus, który ci się ukazał w drodze jaką szedłeś, postać mnie, abym przejrzał i zostałem napełniony Duchem Świętym. I natychmiast opadły z oczu jego jakby łuski i przejrzał, wstał i został ochrzczony” (Dz 9,17-18).

„O nim to świadczą wszyscy prorocy, iż każdy, kto w niego (Chrystusa) wierzy, dostąpi odpuszczenia grzechów przez imię jego. A gdy Piotr jeszcze mówił te słowa, zstąpił Duch Święty na wszystkich słuchających tej mowy... Czy może ktoś odmówić wody, aby ochrzcić tych, którzy otrzymali Ducha Świętego jak i my? I rozkazał ich ochrzcić w imię Jezusa Chrystusa.” (Dz 10,43-44.47-48).

„Uwierz w Pana Jezusa, a będziesz zbawiony ty i dom twój. I głosili Słowo Pańskie jemu i wszystkim, którzy byli w domu jego. Tejże godziny w nocy zabrał ich ze sobą, obmył ich rany, i zaraz został ochrzczony, on i wszyscy jego domownicy” (Dz 16,31-33).

Te i inne wersety i sytuacje najlepiej świadczą o tym jak apostołowie i pierwsi uczniowie byli wierni słowom Chrystusa, nakazującym głoszenie Ewangelii o Bożych warunkach zbawienia. Pan Jezus tuż przed swoim odejściem, żegnając się z uczniami,

powiedział: „Idąc na cały świat głosicie Ewangelię wszystkiemu stworzeniu. Kto uwierzy i ochrzczony zostanie będzie zbawiony, ale kto nie uwierzy, będzie potępiony” (Mk 16,15-16).

Jest rzeczą konieczną uświadomić sobie w tym momencie, co oznacza wypełnienie tych warunków, tzn. co Jezus chce powiedzieć, kiedy kieruje wezwaniem: Uwierz i zostań ochrzczony! Jest to — jak powiedziałem — rzeczą konieczną, dlatego, że słowo „wierzyć”, jak również pojęcie „człowiek wierzący” jest dziś w naszej świadomości dalekie od zrozumienia biblijnego. Uogólniając, w naszej świadomości pojęcie „wierzyć” wiąże się z wiarą w Boga i Jego istnienie, natomiast człowiekiem wierzącym nazywamy często takiego, który wierzy w Boga i pielęgnuje pewne chrześcijańskie zwyczaje tj. chodzenie do kościoła, wykonywanie i udział w praktykach religijnych itp. Częstość wysiłku misyjnego tzw. wierzących skupia się na sile argumentacji, mającej przekonać człowieka niewierzącego o istnieniu Siły Wyższej, Praprzyczyny, Najwyższego Intelaktu.... czyli Boga! I chociaż są to dobre wysiłki jednak nie mogą być ostatecznymi, kiedy cel nagle zostaje osiągnięty i ktoś odkrywa, że Bóg naprawdę istnieje. Biblia powiada, że „demony również wierzą i drżą” (Jak 2,19).

Ta wiara demonów jest częściej głębsza niż wiara niejednego człowieka, który utrzymuje, że wierzy, a pozostaje obojętny na Słowo Boże.

Właśnie stosunek człowieka do Boga i Jego Słowa decydują o mianie: wierzący, czy niewierzący. Chcę przez to powiedzieć, że Bogu zależy na tym, byśmy Jemu i tylko Jemu mogli ufać. WIERZYĆ BOGU (!). Nie tylko w Boga, lecz — Bogu — to konieczność życia każdego, kto chce być zbawionym. Wierzyć Bogu tzn. ufać Mu bezgranicznie i być Mu posłusznym. Odnosi się to przede wszystkim do traktowania serio tego, co On powiedział i objawił nam w Piśmie Świętym. Jedynie Boże Słowo,

jeśli wierzymy Bogu, może być rozstrzygające w każdej kwestii naszego życia i naszego zbawienia. Wierzyć Bogu, znaczy potrafić zrezygnować z dotychczasowych wierzeń, praktyk i wyobrażeń, nawet tych wyuczonych w dzieciństwie, podanych przez zwierzchników duchowych i być posłusznym temu, co mówi Bóg. Nie mogę przeto w tak ważnej kwestii, jaką jest zbawienie ufać jedynie temu, co mówi mój Kościół, moja matka czy ojciec, sąsiad czy kolega. Być wierzącym, znaczy słuchać ponad wszystko Boga i wykonywać to, co Jego Słowo każe.

Według Słowa Bożego (wierzymy Bogu!) „wszyscy zgrzeszyli i nie ma sprawiedliwego ani jednego” (Rzym 3,10.23), dlatego też wszyscy potrzebujemy upamiętania, pokuty, nawrócenia się, zmiany swego życia. To miał na myśli apostoł Piotr, kiedy powiedział: „upamiętajcie się!”

Upamiętanie bowiem to szczera pokuta, żal za grzechy, spowiedź Bogu i chęć zmiany swego życia. To zwrot od grzechu i grzesznego życia do łaskawego Boga. Na skutek nawrócenia Bóg przebacza nasz grzech i daje Ducha Świętego, jak również czyni cud nowozrodzenia do Królestwa Bożego (Jan 3 rozdz). To szczere upamiętanie sprawia, że Bóg przez Jezusa Chrystusa nie tylko daruje nam dług naszych grzechów, zamieniając karę śmierci wiecznej na łaskę wiecznego życia, ale również usynawia nas tzn. adoptuje jako swoje dzieci.

Kto w swej duchowej nędzy (jakże trudno ją zauważyć w sobie) zwróci się w pokutnej modlitwie do Boga, tego On nigdy nie odrzuci. Jezus powiedział: „A tego, który do mnie przychodzi nie wyrzucę precz” (Jan 6,37). Przyjść do Ojca — jak niegdyś syn marnotrawny (Łk. 15) z pokutą i wyznaniem winy — to nie tylko pierwszy warunek na drodze pojednania z Bogiem, ale największa konieczność i potrzeba każdego człowieka!

I teraz, jeśli kto przyjmuje Boga, przyjmuje Jego Słowo, rozpoczyna na skutek nawrócenia wierzyć Bogu, ma prawo i przywilej zostać ochrzczonym. Owo prawo i przywilej chrztu wiąże się z osobistą wiarą człowieka przystępującego do chrztu. Brak owego „wierzenia Bogu”, zaufania Mu, i rozpoczęcia życia w posłuszeństwie Jego Słowu uniemożliwia dokonanie chrztu, o jakim mówi Biblia.

Chrzest jest bowiem zewnętrznym aktem i publicznym świadectwem pokuty, wewnętrznej przemiany i cudu nowozrodzenia. Natomiast bez przeżycia przebaczenia grzechów, stania się dzieckiem Bożym i narodzenia do życia prawdziwie chrześcijańskiego, akt chrztu nie może podobać się Bogu (por. Mt 3,7-10) i pozostaje tylko formą, zwykłą ceremonią, czy obrzędem, praktykowanym przez ten, czy ów kościół. Dlatego też chrzest niemowląt nie ma przed Bogiem żadnego znaczenia. Zresztą Biblia ani razu nie czyni nawet aluzji, która sugero-

wałaby taką praktykę i formę chrztu.

Jak już zauważyliśmy z cytowanych wersetów, tam, gdzie głoszone było Słowo Boże, jedynie ci, którzy je przyjęli z wiarą, byli chrzczeni. „Jeśli wierzysz z całego serca, możesz” (Dz 8,37) — powiada Filip do etiopskiego dostojnika. Tak, to jest prawo wyłączone dla wierzących! Chrzest przez swoją głęboką symbolikę jest również wspaniałym przywilejem człowieka wierzącego. „Czyż może ktoś odmówić wody, aby ochrzcić tych, którzy otrzymali Ducha Świętego?” (Dz 10,47). Ta Boża częśćka w nas sprawia, iż przez chrzest składamy publiczne świadectwo naszej wiary i przywiązania do Chrystusa. Dalej, jest to obraz śmierci starego człowieka i zmartwychwstania nowego, do życia według praw Bożych. Chrzest jest również aktem ślubowania wierności i posłuszeństwa naszemu nowemu Panu!

Drogi Czytelniku! Pozostaje mi tylko zachęcić Cię, byś w modlitwie i z głęboką powagą skonfrontował Twoje dotychczasowe poglądy w tej najważniejszej kwestii Twego życia. Chodzi przecież o całą wieczność!

Zbawienie — dzięki łasce Bożej — jest możliwe do przyjęcia również i przez Ciebie, jeśli uwierzysz Ewangelii. Jeśli Słowo samego Boga zdoła Cię przekonać, tak byś mógł wypełnić Boże warunki zbawienia — **BĘDZIESZ URATOWANY!**

Życzę tego z całego serca.

PIOTR KAREL



TOAMAS — ośrodek WORD OF LIFE na Węgrzech

KAZANIE APOSTOŁA PIOTRA

Pięćdziesiątnica (Święto Tygodni, Zielone Święta) to kolejny po Święcie Paschy dzień, na który każdy dorosły Izraelita obowiązany był stawić się w Jerozolimie. Nazwa pochodzi stąd, że przypada ona w siedem tygodni po Święcie Paschy. Pascha przypadała na początek żniw, a w dniu Pięćdziesiątnicy przynoszono do świątyni chleby z nowego zboża (2 Mojż. 23, 14), aby podziękować Bogu za błogostwieństwo zbiorów. W dniu Pięćdziesiątnicy do świątyni jerozolimskiej przybywało więc mnóstwo wiernych, by zaność przed Bogiem modlitwy dziękczynne.

Autor Dziejów Apostolskich — Łukasz — informuje, iż w dniu Zielonych Świąt, apostołowie „byli wszyscy razem na jednym miejscu” (2,1), nie opisując jednak bliżej tego miejsca. Należy przypuszczać, że chodzi — zapewne — o to samo miejsce, w którym apostołowie zbrali się, powracając z góry Oliwnej, po Wniebowstąpieniu Jezusa Chrystusa (por. Dz. Ap. 1, 12-13 z Dz. Ap. 2,1).

Tekst Dziejów podaje: „Wtedy to powstał nagle z nieba szum, jakby wiejącego gwałtownego wiatru”; i ze sposobu opisu wiadać, iż Łukasz miał trudności w określeniu jego działania. Używa słowa (gr. „osper”, z przydechem): „jak”, „jakby”, „jak gdyby”. W każdym razie wrażenie zewnętrzne wskazywało na jakiś podmuch siły, podobny do działania wiatru. Wrażenie spowodowane tym podmuchało było tak potężne, że cały dom wypełnił się szumem. Do wrażeń słuchowych dołączyły się i wrażenia wzrokowe: ukazało się zjawisko świetlne zbliżone do ognia; początkowo skupione, które następnie rozdzieliło się na części i kształciło jakby „języków ognia, które „usiadły na każdym z nich” (w. 3).

Nie był to zatem ogień, ale zjawisko przypominające go samym blaskiem. Wszystko to stało się w jednej chwili i spowodowało wielką zmianę wśród apostołów. Zrozumeli, że nastąpiło — niejednokrotnie przez Jezusa zapowiedane — zesłanie Parakleta, i to w

formie dla nich zrozumiałej. Podobieństwo wiatru i ognia nie było im też przecież obce (por. Jan 3, 1,20, 22). W Starym Testamencie znajdowali analogiczne sytuacje (I Król. 19, 11-12), gdzie pojawiający się ogień symbolizował moc Bożą.

Prorok Malachiasz zapowiadając „Dzień przyjscia Jego” głosił, iż będzie on, „jak ogień stapiający, usiadzie wypalając i oczyszczając srebro i oczyści synów Lewiego” (Mal. 3, 2-3).

W wielkiej wizji (Iz. 6, 6), wykonując polecenie Boga, bierze Seraf rozżarzony kamyk z ołtarza [kadzielnego] i dotyka nim warg Proroka. Przepaść między Bogiem a człowiekiem została wypełniona, obiektywna przeszkoda — w postaci grzechu i winy — została usunięta w sposób istotny i radykalny.

W Ewangeliach symbol ognia nabiera jeszcze głębszego znaczenia. Jan Chrzciciel, głosząc nad Jordanem chrzest pokuty, zapowiada, że Mesjasz, który przyjdzie, będzie chrzczył „Duchem Świętym i ogniem”, (Mat. 3, 11 Łk. 3, 16). Znak ognia wyraźnie połączony jest z pojawieniem się Ducha Świętego. W wyrażeniu: „i wszyscy napełnieni byli Duchem Świętym”, kryje się całe bogactwo darów duchowych, które stały się odłąd udziałem apostołów i uczniów (por. I Kor. 1,7). Był to zaiste „chrzest Ducha” — (gr. baptidzo — zanurzam); można powiedzieć, że było to „zanurzenie w Duchu” (por. 1 Kor. 12, 12--13). „Chrzest Ducha” zapowiadany był już przez Jana Chrzciciela i przyobiecany następnie, przez Pana Jezusa Chrystusa (Mat. 3,11; Mk.1, 8; Łk. 3, 16; Jan 1, 26, 31, 33; Dz. Ap. 1, 5,8; por., 1 Kor. 12, 13). Od tej chwili apostołowie zaczęli odważnie głosić Chrystusa zmartwychwstałego wszystkim narodom. Przekonali o zmartwychwstaniu, jak i własnej wierze i odwadze, nie tylko mieszkańców Jerozolimy, ale też licznych przybyszów z diaspory, którzy stawili się w świątyni w dniu Pięćdziesiątnicy.

Słuchaczami pierwszej mowy misyjnej — wygłoszonej przez Piotra — byli mieszkańcy Jerozolimy i pielgrzymi z diaspory (gr. rozposzenie) żydowskiej. Było też wśród nich wielu prozelitów, tj. nawróconych z pogan na wiarę możeszową. Przybyli oni na święto Pięćdziesiątnicy, a niezwykłość dziejącego się zjawiska sprawiła, iż przyszli słuchać mowy Piotra i zobaczyć na własne oczy to, co się wydarzyło.

Apostołowie przemawiali językami znanymi dobrze przybyszom z dalekich stron, wszakże umiejętność tej żaden z obcokrajowców nie domyślał się u prostych Galilejczyków (w. 5-8). Łukasz, oprócz mieszkańców Jerozolimy, podaje listę przedstawicieli narodów, którzy byli słuchaczami pierwszej mowy misyjnej apostoła Piotra. Lista słuchaczy, pochodzących z różnych części diaspory żydowskiej, zawarta jest w Dz. Ap. 2, 9-11. Kończy się stwierdzeniem, że wśród przybyłych spoza Jerozolimy, znajdowali się zarówno Żydzi jak i prozelici; (tylko 4 razy w N.T. występuje określenie „prozelici” — por. Mat. 23, 15; Dz. Ap. 2, 11; 6, 5, 13; 43), a więc ci z pogan, którzy przyjęli obrzezanie i zachowywali Prawo Możeszowe, strzegąc jednakże nadal swojej odrębności narodowej. Wszystkie wymienione ludy, Łukasz (w zakończeniu) dzieli na dwie grupy. Określenia „Kreteńscy” i „Arabowie” oznaczają tutaj mieszkańców Zachodu i Wschodu.

Mowę apostoła Piotra, (z Dz. Ap. 2, 14), można podzielić następująco:

- 1) Wstęp i wyjaśnienie zdarzeń (w 14-16);
- 2) Wypełnienie się proroctwa Joela (w. 17-21);
- 3) Czyny Jezusa manifestujące Go jako Mesjasza (22-24 i 33),
- 4) Proroctwo Dawida, że Mesjasz po zmartwychwstaniu będzie Królem (w. 21-32);
- 5) Ukrzyżowany Jezus jest Panem i Chrystusem (w. 34-36);
- 6) Zakończenie mowy (w. 36).

W reakcji na zapytanie słuchaczy, apostoł Piotr stwierdza, że muszą opamiętać się i dać ochrzcić (37-41), w tym reakcja słuchaczy (w. 37), wezwanie do pokuty i chrztu (w. 38), obietnica dana przez Boga (w. 39), — napomnienie i owoc pierwszego chrześcijańskiego kazania misyjnego (w. 40-41).

Apostołowie zostali napełnieni Duchem Świętym. Wielu ludzi było świadkami tego wydarzenia i z ciekawości — być może — zebrało się wokół tej grupy chrześcijan, która znalazła się po raz pierwszy w centrum powszechnego zainteresowania. Ludzie otaczający apostołów podzielili się na dwie części. Jedni byli poruszeni i wstrząśnięci tym, co usłyszeli i zobaczyli, a pytania ich dotyczą zagadkowego wydarzenia, którego stali się świadkami. Inni naśmiewali się z apostołów, posądzając ich o pijaństwo. Apostołowie wyjaśnili to niezwykle zjawisko, nie chcąc zarzutu — postawionego przez Żydów — pozostawić bez odpowiedzi. Tę sposobność wykorzystuje apostoł Piotr, by rozpocząć publiczne świadectwo o Panu Jezusie Chrystusie.

Piotr występując z Jedenastoma zaczyna uroczysto przemawiać, rozpoczynając swą mowę zwrotem powszechnie używanym w przemówieniach synagogałnych: „Mężowie Judzcy” (por. 2, 22-29). Nawołuje on słuchaczy do uważnego wysłuchania, gdyż chce wyjaśnić znaczenie tego wydarzenia, którego stali się świadkami. Piotr, nawiązując do zarzutu pijaństwa (broniąc siebie i apostołów), wskazuje na wczesną godzinę; godzina dziewiąta przed południem. Wyjaśniając, odwołuje się do proroctwa ze Starego Testamentu — proroctwa Joela. Piotr cytując Joela — zmusza, jakby, obecnych do wysłuchania słów zawartych w Piśmie. Bóg wszystkich ludzi, który stoi poza czasem i wydarzeniami, rozkazał prorokom przepowiadać czasy ostateczne. Przez proroków obiecał On wylanie Ducha Świętego na tych; którzy mu służą, a oprócz tego przepowiedziane zostały cudowne wydarzenia w przyrodzie: „Słońce zamieni się w ciemność, a księżyc w krew”. Po doświadczeniach i znakach, które przepowiada w proroctwie Joel... nadejdzie dzień Pański, a z nim zbawienie tych, którzy wyznają imię Jego, jako swego Pana.

Po omówieniu proroctwa Joela, przystąpił do przedstawienia Chrystusa jako Mesjasza. W wygłoszonym przez niego chrześcijańskim kazaniu, czołową postacią jest Jezus, pochodzący z Nazaretu. Wiersze 22-24 można podzielić na trzy części, w których jest mowa o tym, jak:

- a) Jezus z Nazaretu — przez cudowne czyny — udowodnił, że przyszedł od Boga. Był nie tylko cudotwórcą, nie to było najważniejsze w Jego przyjściu, lecz fakt, że przez Niego działał Bóg;
- b) Jezus musiał cierpieć (por. Łk. 24, 26). Bóg posłał Jezusa, aby przez niego wypełnić Swoją plan. Na Golgocie dokonało się zbawienie, został wykonany plan Boży. Oczekiwany Król umarł w męczarniach;
- c) Bóg nie pozostawił Jezusa samego — prowadził Swoje dzieło dalej. Nie dopuścił aby — postany przez Niego — Wybawca ludzi od śmierci, został przez śmierć pokonany. Bóg rozwiązał Jego więzy śmierci. Nie mogła ona zatrzymać Jezusa, lecz jako pierworodny z umarłych (Kol. 1, 18) Jezus Chrystus powstał z martwych, i po zmartwychwstaniu został wywyższony. Stał się Panem. Przez Niego wypełniła się obietnica wylania Ducha Świętego.

Król Dawid przepowiedział w Psalmach, że Mesjasz będzie Królem. Psalm 16 nazywany jest często „Psalmem pobożnym”. Bóg nie pozwolił Mesjaszowi umrzeć przed czasem, gdyż wczesna śmierć jest karą dla bezbożnych, ale chrześcijański Zbór znalazł w greckim tekście coś innego (mam na myśli LXX — Septuagintę). Tekst hebrajski mówi jedynie o ustrzeżeniu Mesjasza od skażenia w grobie, co w LXX zmieniono na zachowanie od skażenia, tj. rozkładu ciała w grobie. Wyraźnie widać, że Biblią chrześcijan była LXX. Tekst hebrajski mówi o zachowaniu Mesjasza od skażenia. Dawid w Psalmie tym przepowiada zmartwychwstanie Mesjasza. W wierszu 27 potwierdza wiarę i przekonanie pierwszych chrześcijan, że ciało Mesjasza nie dozna skażenia. Wiersz 28 wyraża chwałę Zmartwychwstania.

Piotr umieszcza trzeci raz w swoim przemówieniu zwrot: „Mężowie bracia” (por. w. 14-22), ale różni się on od poprzedniego. Chce otwarcie, serdecznie porozmawiać ze słuchaczami. Dawid określony zostaje, jakby uroczystym tytułem, „Patriarcha”, i dalej Piotr stara się wyjaśnić cytowany Psalm 16. Apostoł jeszcze raz podkreśla, że Jezus został wywyższony. Na dowód po-

daje jeszcze jeden fakt ze Starego Testamentu. Psalm 110, 1 ukazuje Chrystusa jako Mesjasza.

Poprzednio mieliśmy to w Psalmie 16, 25. W swoim pierwotnym znaczeniu Psalm 110 był psalmem królewskim o charakterze mesjańskim. Bóg obiecuje królowi izraelskiemu — Dawidowi — że go wywyższy ponad wszystkich wrogów. (Słowa te są trudne do zrozumienia) Dawid mówi o swoim Panu, ale jest autorem tych słów. Kogo Dawid mógł nazwać swoim Panem? Tylko Mesjasza, ale On miał być jego synem i jego następcą. Jak więc Dawid może nazwać go swoim Panem? Na to pytanie odpowiedział Jezus jednoznacznie w rozmowie z faryzeuszami (por. Mk. 12, 35-37 i paral.). Piotr cytując Psalm 110 jeszcze raz podkreśla, że nie Dawid został wywyższony, lecz właśnie syn Dawida, o którym sam Król (żyjący chronologicznie przed Chrystusem) mówi jako o swoim Panu. Właśnie Jezus Chrystus jest Mesjaszem wszechczasów. Dawid nie mógł prorokować fałszywie. I pomimo iż mówił w pierwszej osobie, nie miał na myśli siebie, lecz „Króla przyszłości” nie pozostawał w mocy śmierci; „Jego ciało nie oglądało skażenia”.

Ten przyobiecany syn Dawida — to Chrystus. To Jego „Bóg wzbudził ze śmierci, czego my wszyscy świadkami jesteśmy” (w. 32) — mówi Piotr. Świadectwo Pisma i naocznych świadków i apostołów daje „domowi Izraela” pełne rozpoznanie, że Bóg uczynił Mesjaszem Jezusa Chrystusa.

Piotr podsumowuje swoje zwiastowanie tymi słowy: „Bóg tego Jezusa, którego Żydzi ukrzyżowali — (On nie mówi przeciwko Żydom, lecz jest to próba podjęta przez niego, aby pokazać tym, którzy chcą przyjść w wierze do Jezusa, że są winni Jego śmierci) — uczynił Panem i Chrystusem”.

Piotrowi i apostołom Jezus przed swoją śmiercią objawił się jako Mesjasz. Po Swym chwalebny Zmartwychwstaniu On ukazał się swoim wyznawcom — apostołom i uczniom jako Zmartwychwstały Pan. (Imię Pan = gr. Kyrios). Jest to Imię ponad wszystkie imiona (por. Fil. 2, 10-11).

RYSZARD TOMASZEWSKI

CZŁONKOWIE KOŚCIOŁA I UCZNIOWIE (Dz. 2,41-47)

George Clark w swojej książce pisze o pewnej korpulentnej damie, która tak mówi do swojej przyjaciółki: „Mój klub redukcji wagi odnosi sukcesy. Straciliśmy już 70 kilogramów. Żaden z nich nie należy jednak do mnie”. Jakże podobni do niej są niektórzy członkowie kościołów! Ich nazwiska są na listach członków, a oni sami niekiedy nawet chwalą się osiągnięciami swojego kościoła, lecz w niczym nie przyczyniają się osobiście do odnoszonych sukcesów. Potrzebują jedynie usług kościoła z okazji narodzin, ślubów i zgonów. Tacy ludzie nie zrozumieli, że będąc członkami kościoła, nie będąc jednocześnie uczniami, obrażają Jezusa i zaprzeczają Jego naukę.

Co zatem powinni zrobić członkowie kościoła? Aby na to odpowiedzieć, musimy wrócić do pierwszych dni opisanych w Dz. 2,41-47. Kiedy trzy tysiące dusz odpowiedziało na wezwanie ap. Piotra, narodził się Kościół Chrystusa. Te trzy tysiące od razu wiedziały, że przedstawił im prawdziwego Mistrza; Piotr głosił prawdę, a Duch Święty ją potwierdzał. Uwierzyli oni więc, że Bóg posłał Jezusa, aby ich zbawić, pouczyć i wprowadzić w obfite życie. Kiedy nowonawróceni zostali „poszukanymi” dla Pana i siebie nawzajem, uznali Jezusa Chrystusa za swego wodza i mistrza. W ich oddaniu się nie było niczego nominalnego ani przypadkowego. Jego nazywali Panem, a siebie uczniami.

Musimy przyrzeć się słowu **uczeń**. Nie jest ono używane w Dz 2, ale w Dz 11,26 czytamy, że jest ono równoznaczne z późniejszym określeniem **chrześcijanin**. Występuje 232 razy w Ewangeliach i 27 razy w Księdze Dziejów Apostolskich. Nie pojawia się w Listach, tam dominującym określeniem chrześcijanina jest **święty** (które pojawia się 57 razy w Listach i w Księdze Objawienia).

Uczeń znaczy student, uczący się, terminator; w greckim i rzymskim społeczeństwie powszechnie określano tym słowem naśladowców takich filozofów jak Arystoteles czy Seneka; **święty** jest terminem trochę szerszym, mówiącym o kimś, kto został przez Boga oddzielony dla specjalnych celów.

Tutaj skoncentrujemy się na „uczniu”, gdyż dla nas — wygodnych dwudziestowiecznych chrześcijan, jego znaczenie powinno ponownie stać się wyzwaniem. Pamiętamy, że Jezus nie polecił swoim naśladowcom, aby poszli na cały świat i czynili wszystkich członkami kościołów, w naszym ograniczonym rozumieniu tego członkostwa. Nakazał im czynić ich **uczniami**, bo taka jest Jego definicja członka kościoła. Henry Leard Beecher opisał chrześcijanina jako „grzesznego człowieka, który przyszedł do szkoły Chrystusa w uczciwym celu stania się lepszym”. Chrześcijańskie życie oznacza oczywiście coś więcej niż proponuje Beecher, ale uchwycił on sedno uczniostwa, mówiąc o człowieku, „który przyszedł do szkoły Chrystusa”. Upamiętawszy się i przyjąwszy chrzest, zgodnie z pouczeniami Piotra, pierwsi nawróceni formowali się w małe „szkółki” lub grupy terminatorów, aby poznawać naukę apostołską, łączyć chleb, modlić się i wspólnie żyć. Ich spotkania wyróżniały się cudami, uwielbieniem Boga i bezinteresowną radością. Te „szkółki” nazywały się kościołami.

Nowi uczniowie pragnęli oczywiście dowiedzieć się z **nauki apostołskiej** wszystkiego, co mogli, o swoim nowym Panu. Przyjęli fakt, że Jezus był Tym Obiecanym od Boga, ale niewiele jeszcze o Nim wiedzieli. Nowy Testament nie był jeszcze napisany, musieli więc polegać na przedchrześcijańskich Pismach i świadectwie apostołów oraz innych, którzy osobiście znali Chry-

tusa. Chcieli spełnić oczekiwania Chrystusa: „Jeżeli wytrwacie w słowie moim, prawdziwie uczniami moimi będziecie i poznacie prawdę, a prawda was wyzwodzi” (Jan 8,31-32). Chcieli więc poznać wszystko, czego apostołowie mogli ich nauczyć w „szkole Chrystusa”.

Kiedy spotykali się, nie tylko wspólnie się uczyli, oddawali się też **łamaniu chleba**. Ten prosty akt, przypominający posiłek Jezusa i Jego uczniów w wieczerniku, wskazywał tym nowym uczniom na ofiarną miłość Jezusa do nich. Była to też uduchawiana lekcja uczniostwa: aby być uczniami Chrystusa, musieli być gotowi wziąć swój krzyż i iść za Nim (Mat 10,38). Stali się obywatelami Królestwa Niebios, a w imię sprawiedliwości mogli nawet stracić swe ziemskie życie.

Poświęcając się **modlitwie** nowi uczniowie utrzymywali osobisty kontakt ze swoim Mistrzem. W Jego imieniu zwracali się do Boga i w Nim Go uwielbiali. W świątyni, w domach i na osobności codziennie rozmawiali z Bogiem. Uczeń pozostaje w bliskości swego Pana.

Nowi uczniowie mocno trwali w tych wszystkich poczynaniach, które były ich terminowaniem u Jezusa; chcieli być do Niego podobni i nawet, jeśli to będzie konieczne, ponieść swój krzyż, tak jak On to uczynił. Skupiali się na Nim, tak jak dziewiętnastowieczny autor, Thomas Carlyle, skupiał swą uwagę na osobie, nad której biografią pracował. Miał on zwyczaj umieszczać przed sobą jej fotografię, tak że ta postać, zawsze w zasięgu jego wzroku podczas pisania, stawała się żywą rzeczywistością, inspirowaną Carlyle’a w jego pracy. W ten sam sposób uczniowie zachowywali przed sobą obraz Jezusa, chcąc pełniej go poznać i mając nadzieję, że staną się podobni do Niego.

Kiedy Pan Jezus powołał swoich pierwszych uczniów, Piotr i Andrzeja, Jakub i Jan oraz inni pozostawili wszystko, aby iść za Nim, nie wiedząc, dokąd On ich poprowadzi. Wiedzieli tylko jedno: że jest On jedyną osobą, jaką kiedykolwiek spotkali, absolutnie godną zaufania. Szybko odkryli też jeden fakt: uczeń nie prowadzi siedzącego trybu życia. Jezus nie powołał ich do zajmowania ławek w kościele. Uczynił ich pielgrzymami. Być jednym z ludzi Chrystusa, to chodzić tam, dokąd On prowadzi. Życie chrześcijanina to przygoda w wierze; jesteśmy w drodze, ale nie jesteśmy pewni dokąd zmierzamy, i to jest podniecające. Nasz ostateczny cel jest pewny, ale niepewna jest podróż w jego kierunku. Naszą jedyną pewnością jest to, że nasz Mistrz ją zna. On prowadzi, my idziemy za Nim.

Kiedy sławny historyk, Samuel E. Morrison zaczął pisać swe dzieło o życiu Kolumba „Admirał Mórz i Oceanów”, uznał, że najlepszym przygotowaniem do pisania będzie podróż zgodna z trasą wojaży Kolumba, na statku żaglowym o rozmiarach Santa Marii. Jego celem, powiedział, było „przeżyć na nowo odkrycia wielkiego odkrywcy”. Musiała to być dla Morrisona wielka przygoda. Taką przygodę przeżywa każdy uczeń wyruszający w drogę śladami Jezusa.

Jego droga nie zawsze jest łatwa. Nie mogą też nią kroczyć ludzie powierzchowni. Zdyscyplinowane życie chrześcijańskie nie pociąga tych, którzy zadowolają się posadą, uczciwym zarabianiem na życie i miłym spędzaniem wolnego czasu. Uczniowie traktują życie na tyle poważnie, aby chcieć nauczyć się od swego Mistrza wszystkiego, co możliwe. Nie chcą być winni tego, co tak surowo osądza Kierkegaard:

„A kiedy pewnego dnia zdawany będzie rachunek z niezliczonych tłumów ludzkiej rasy, w rubryce „gnuśni” znajdzie się o wiele większa ilość niż w rubrykach „złodzieje”, „grabieżcy” i „mordercy” razem wziętych”. Gnuśni nie odziedziczą Królestwa Niebios.

A zatem, chrześcijanie to zdyscyplinowani studenci życia, połączeni w grupę uczniów, aby dzielić się ze sobą nawzajem wszystkim, co mają, naśladować Chrystusa, ich Mistrza. Wiernie

trwają w towarzystwie innych pielgrzymów, gdyż nauczyli się, że nie mogą w samotności doświadczać pełni życia. Jezus Chrystus powiedział im, jaki ma być ich styl życia. „Po tym wszyscy poznają, żeście moimi uczniami, jeśli miłość wzajemną mieć będziecie” (Jan 13,35).

Dla pierwszych chrześcijan być oddanym **wspólnocie**, jak określają to Dz 2,42, znaczyło okazywać sobie nawzajem bezinteresowną miłość, **agape**. W Dz 2,44-46 opisane jest do jakiego stopnia chętnie to czynili. Wszystko mieli wspólne; sprzedawali swe posiadłości i dobra i dzielili się nimi ze wszystkimi, według potrzeb. Mieli szczerze serca i opiekowali się sobą nawzajem. Nic dziwnego, że ich ilość wzrosła z dnia na dzień.

Co to oznacza dla Kościoła dzisiaj jest więcej niż oczywiste. Sherwood Wirt, redaktor naczelnny czasopisma „Decision”, uważa, że to bardzo powierzchowne opisywać kościoły w takich kategoriach, jak silny lub słaby, duży lub mały, ciepły lub zimny. Jego zdaniem istnieją tylko miłujące i nie miłujące kościoły. Podczas gdy fenomenalny wzrost Kościoła Południowych Baptistów w Stanach Zjednoczonych jest przypisywany gorliwości jego członków, a Kościoła Zielonoświątkowego praktykowaniu szczególnych darów Ducha, Wirt jest przekonany, iż wzrosły one tylko dlatego, że ich członkowie naprawdę się nawzajem kochają. To jest bez wątpienia najlepsze możliwe wyjaśnienie.

Spółeczeństwo dwudziestego wieku pod pewnym względem zupełnie przypomina Jerozolimę z wieku pierwszego. Niewiele było wtedy, jak i jest teraz, miejsc, gdzie przychodzący ludzie nie byliby wykorzystywani i źle traktowani. Natomiast w kościele, w którym panuje prawdziwa miłość, są karmieni i chronieni. Kiedy już ktoś złożył przysięgę wierności Chrystusowi, przyjął na siebie odpowiedzialność za dzielenie się tym, czym jest i co ma, ze współuczniwami. Tego wymaga miłość. Dlatego właśnie Jan, pisząc już jako bardzo stary człowiek, sprowadził swe lata doświadczeń do jednego żarliwego apelu: „Dzieci, miłujmy nie słowem ani językiem, lecz czynem i prawdą”. „Umiłowani, jeżeli Bóg nas tak umiłował, i myśmy powinni nawzajem się miłować” (1

Jana 3,18; 4,11). O pierwszych chrześcijanach mówiono: „Patrzcie jak oni się nawzajem miłują”. Byli pielgrzymami, razem maszerującymi w kierunku Nieba, maszerującymi ręka w rękę, nigdy nie puszczającymi jeden drugiego, aby któryś nie upadł po drodze i nie zginął.

Ilość nowych uczniów szybko wzrastała. Dz 2,47 mówią: „Pan zaś codziennie pomnażał liczbę tych, którzy mieli być zbawieni”. W Dz 6,7 czytamy: „A Słowo Boże rosnęło i poczet uczniów w Jerozolimie bardzo się pomnażał”. Przez całą księgę jesteśmy świadkami tego wzrostu. Kościół wzrastał nie tylko dlatego, że jego członkowie trzymali się razem, ale także dlatego, że do swej pielgrzymki przyłączali innych. Chcieli, aby ci poza ich grupą, mogli doświadczyć błogosławieństw, które były ich udziałem. Nie stanowili ekskluzywnego towarzystwa dla wybranych. Pojęli wskazówki Jezusa, którego przypowieść o miłosiernym Samarytaninie wywarła trwały wpływ na pierwszych uczniów, i w którego ostrzeżeniach o nadchodzącym sądzie znalazł się mocny obraz oddzielenia owiec od kozłów na podstawie ich troski o bezbronnych (Mat 25,31-46). Uczniów tych można więc było wkrótce spotkać w świątyni, na ulicach, w domach sąsiadów i znajomych, dzielących się Dobrą Nowiną, która zmieniła ich życie. Nikogo się nie bojąc, płonęli chęcią zbawienia innych, tak jak oni zostali zbawieni.

Ich motywacja była podobna do tej, którą Keith Miller opisuje w swojej książce „Smak nowego wina”. Wyrósłszy w kościele, który, jak mówi, praktykował „legalistyczne łowienie skalpów”, postanowił jako dorosły człowiek, że nie będzie innym opowiadał o Chrystusie, lecz po prostu będzie żył dobrym życiem chrześcijańskim. Uznał, że będzie to najlepszym świadectwem, jakie może złożyć. Potem, któregoś dnia uświadomił sobie, jak bardzo egoistyczna była jego decyzja. Był jak człowiek w szpitalu na oddziale chorób ciężkich, który w tajemnicy został wyleczony przez wielkiego lekarza, i nikomu o tym wyleczeniu nie powiedział. Zamiast tego pozostał w szpitalu, powracając do sił w obecności innych chorych pacjentów. Pomagał im nawet, starał się uczynić ich śmierć znośniejszą,

EWANGELICZNE PRZEBUDZENIE W ROSJI — c.d.

ale wciąż nie mówił im, w jaki sposób został uzdrowiony. Miller uświadomił sobie w końcu, że prawdziwym czynem miłości będzie przedstawienie ich temu lekarzowi, który jego wyleczył, tak aby i oni mogli być uzdrowieni.

Takie jest zadanie uczniów Jezusa — przedstawiać umiarkujących Wielkiemu Lekarzowi, aby mógł ich uzdrowić i zaprosić do udziału w pielgrzymce uczniów, podążających za Nim do życia.

Aby to czynić, uczniowie muszą udawać się tam, gdzie są chorzy. Imponującego wysiłku w tym względzie dokonał ostatnio pewien kościół, który zebrał tysiące dolarów na założenie ośrodka dla dziewcząt na cieszącym się złą sławą Times Square w Nowym Jorku. Ich programem jest zaopiekowanie opieki i możliwości rehabilitacji okolicznym prostytutkom i uciekinierkom z domów. Wiele z nich to dziewczęta z małych miasteczek, które, na swoją zgubę, uciekły do wielkiego miasta. Inne to miejskie dziewczyny skrzywdzone przez życie. Świat patrzy na nie jak na przestępczynie, które należy uwięzić, wielu mężczyzn widzi tylko ich ciała, które chętnie wykorzystują, ale oto jest kościół, który widzi w nich cenne osoby, za które umarł Chrystus — które trzeba wydobyć z dna. To jest praca godna uczniów.

Uczniowie nie pragną powszechnego szacunku. Jezusa nigdy nie krytykowano za zadawanie się z poważanymi członkami społeczeństwa; potępiano Go, ponieważ Jego przyjaciółmi byli grzesznicy, prostytutki, celnicy. On chciał ich wywyższyć, widział w nich coś więcej. Jego uczniowie idą za tym przykładem.

Co robią chrześcijanie? Co to znaczy być uczniem Jezusa? To znaczy robić to, co robili pierwsi chrześcijanie — przyłączać się do Mistrza życia, aby nauczyć się od Niego jak żyć, łączyć się w grupę uczniów, idących ręką w rękę na pielgrzymkę w kierunku Nieba. Uczniowie mają tyle miłości do Chrystusa i do siebie nawzajem, że obdarzają nią też tych, którzy jeszcze nie pielgrzymują z nimi, mając nadzieję podnieść ich i przyjąć do ich ligi pielgrzymów.

Tak właśnie postępują chrześcijanie.

LEROY LAWSON

Ewangeliczne przebudzenie na terenie Rosji miało miejsce w różnych rejonach kraju. Kontakty osobiste, jak również listowne poszczególnych przywódców zrodziły pomysł nawiązania bliższej współpracy między zborami, wymiany doświadczeń. Dojrzała również myśl o zorganizowaniu społeczności ewangelicznej. W 1882 roku, z inicjatywy mennonitów, którzy już na początku lat siedemdziesiątych organizowali konferencje na południu Rosji, a przede wszystkim I. Wilera i P. Frizena, zorganizowano w kolonii Rukenu, w guberni tawriczewskiej, pierwszą ogólnorosyjską konferencję. W spotkaniu tym uczestniczyło 50 przedstawicieli zborów, przede wszystkim nowomennonickich (praktykujących nawrócenie i chrzest wiary) i baptystycznych. Na konferencji omawiano sprawy związane przede wszystkim z głoszeniem Ewangelii na terenie Rosji oraz z rozwojem i duchowym wzrostem istniejących zborów i społeczności. Bardzo podkreślano, że jest ogromne pragnienie słuchania Słowa Bożego i należy dołożyć wszelkich starań, aby nie zmarnować tej szansy. W tym celu wybrano specjalnych pracowników, których zadaniem miało być głoszenie Ewangelii na terenie Rosji. Na czele komitetu, liczącego 11 osób, stanął I. Wiler. Powstała także niezależna kasa, tzw. misyjna, zbierająca fundusze na cele ewangelizacyjne.

Od 1884 roku organizowano na terenie Rosji zjazdy, które za cel postawiły sobie „zjednoczenie wszystkich wierzących w Rosji, aby mogli poznać się wzajemnie i potem wspólnie pracować. Głównym inicjatorem zwołania konferencji był W. A. Paszkow, który 24 marca 1884 roku wystąpił z zaproszenia do wszystkich zainteresowanych. A oto fragment wystanęgo listu:

„Umiłowani Bracia!
Pan nasz, Jezus Chrystus, poświęcając Siebie za Swój Kościół, gotów pójść na śmierć krzyżową, zwrócił się do Swego Ojca w modlitwie, w której wyraża się najgłębsze Jego pragnienie, **ABY WSZYSCY BYLI JEDNO**. Ten nakaz Chrystusa przekazany Jego

Kościółowi, do tego czasu pozostaje jeszcze niespełniony. Czy nie wydaje się Wam, drodzy Bracia, że należy nam, członkom Ciała Chrystusowego, napełnionym jednym Duchem i stanowiącym jedno Ciało z Nim, nam, którzy zostaliśmy powołani do społeczności z Ojcem i Synem, wspominać, że Chrystus pragnie wypełnienia jedności jedynego Jego Ciała...

Proponujemy Wam, Bracia, abyście wystąpi z waszego kościoła jedną osobę z tych, które Duch Święty postawił na straży stada, dla wspólnego modlitewnego przed Bogiem badania dróg wskazanych przez Niego samego dla dokonania jedności Kościoła Chrystusowego...

Proponujemy zebrać się w Petersburgu, z dniem pierwszego następnego miesiąca, na osiem dni. Przyjeźdźni znajdą zakwaterowanie pod wskazanym adresem. Ci bracia, którym kościół nie będzie w stanie zapewnić środków na czas pobytu w stolicy i którzy nie mają na to własnych środków, znajdą pod tym adresem bezpłatne mieszkanie i wyżywienie w pobliskiej stołówce. Braciom pozostającym w domach, niech położy Pan przez Ducha Świętego pragnienie wspierania modlitwami zebranych w Petersburgu, aby otrzymali taką samą porcję błogosławieństwa od Pana”.

W zorganizowanym zjeździe uczestniczyło około stu delegatów. Nie zachował się protokół zjazdu, ponieważ nastąpiły aresztowania, ale obrady można prześledzić na podstawie zachowanych notatek uczestników zjazdu. W. G. Pawłow zanotował: „Przybyliśmy szczęśliwie do Petersburga 1 kwietnia o godzinie 10 rano. Dzisiaj udaliśmy się na poszukiwanie nabożeństw, które znaleźliśmy w domu księżnej Liwien, gdzie zgromadzonych było około stu osób, które uczestniczyły w Wieczerzy Pańskiej. Nie uczestniczyliśmy w Wieczerzy, ponieważ większość obecnych nie była ochrzczona na podstawie wiary... Od baptystów przyjechali... oprócz nas W. R. Kołodin, F. P. Bachlin z tawriczewskiej guberni, M. Ratusznyj, I. Riaboszapka

oraz I. Kargiel z Bułgarii... Ponieważ celem nabożeństwa było osiągnięcie jedności, ja również przemawiałem; wzięwszy za podstawę Dz. Ap. 2,24 podkreśliłem, że tamtych chrześcijan prowadził Duch Święty, a my również powinniśmy wrócić do nauki apostołskiej... Posiedzenia zjazdu odbywały się w różnych domach, m. in. w pałacu księżnej H. F. Liwien, barona M. M. Korfa i W. A. Paszkowa. Po każdym zebraniu urządzano wspólny obiad, a na posiedzeniach obecni byli ludzie z różnych stanów... obecni odczuwali powiew Ducha Świętego, wyrażający się we wzajemnym zrozumieniu i poważaniu. Nawet wówczas, gdy dochodziło do istotnych różnic poglądów na niektóre zagadnienia, zachowany był duch miłości jako znak przyszłego zjednoczenia w jedną, radosną rodzinę. W swoich rozważaniach bracia starali się niczym nie zasnuwać jeden drugiego. Kiedy trzeciego dnia rozważano zagadnienie chrztu wodnego i powstało nieporozumienie między braćmi, wówczas W. A. Paszkow, dr F. Baedeker i Radklif wykreślili to zagadnienie z programu dnia, jako jeszcze nie dojrzałe, uznając, że dalsze jego rozważanie może wywołać wzajemne niezadowolenie...".

Poza tym, na zjeździe omawiano też sprawy dotyczące najlepszych metod zwiastowania Ewangelii, rozpowszechniania literatury religijnej, utrzymywania kaznodziejów oraz usługiwania Słowem Bożym przez siostry. Nad tym ostatnim dość długo dyskutowano, a przeważały argumenty bardzo proste. Bracia, którzy usługują, często są aresztowani, a w zborach często zostają same siostry. Delegaci uchwalili, że „należy wspierać materialnie kaznodziejów oraz dopuszczać do usługiwania, w wyjątkowych sytuacjach, utalentowane siostry”.

Dnia 6 kwietnia policja aresztowała przyjezdnych uczestników konferencji, osadzając ich w petersburskim więzieniu. Poddano ich szczegółowemu przesłuchaniu, pośpiesznie ich osądzono, zarzucając im nihilizm, przechowywanie drukowanych pism i tajnych dokumentów skierowanych przeciwko państwu, które zostały znalezione podczas rewizji w hotelu (skąd my to znamy?). Ponieważ pomimo tak „mocnych” zarzutów nic nie można było udowodnić przybyłym delegatom,

użyto innego argumentu — najważniejsze, że skutecznego — ich pobyt w Petersburgu był nielegalny i dlatego muszą opuścić to miasto. W towarzystwie żandarmerii „odstawiono” uczestników konferencji na dworzec kolejowy, zakupiono bilety, ostrzegając, że jeśli ktoś z nich powróci do stolicy, zostanie aresztowany i zesłany na Sybir, przepraszam — „w odległe rejony państwa”. Pomimo ostrzeżeń policji, jeden z uczestników wysiadł na pierwszej stacji i powrócił do Petersburga, informując W. A. Paszkowa i M. M. Korffa o przyczynie nieobecności uczestników z innych miast na kolejnym posiedzeniu konferencji. W taki dziwny sposób zakończyła się pierwsza konferencja, na której po raz pierwszy omawiano zagadnienie jedności ewangelicznych społeczności na terenie Rosji. Myśl o jedności z pewnością stała się bliższa sercom wszystkich wierzących zamieszkałych na terenie imperium rosyjskiego. Ta więź duchowa między wierzącymi, okazała się bardzo przydatna w przyszłości, ponieważ okres „wolności” już się kończył (choć aż jeszcze się nie zaczął) i przychodził trudny okres prześladowań. Prześladowania dotknęły nie tylko przyjezdnych uczestników konferencji. Wspomniany już nadprokurator, K. P. Pobiedonoszew, który sprawował kontrolę nad działalnością Synodu Prawosławnego i reprezentował kościół w Radzie Ministrów, był „okiem cara i obrońcą państwowym”, posiadał nieograniczoną władzę. Po otrzymaniu „odgórnej zezwolenia” przystąpił do realizacji nakreślonego przez siebie programu walki z „baptyzmem”, „szundayzmem” i „paskowszczyzną”. Dnia 24 maja 1884 roku weszło w życie polecenie cara, aby zamknąć „Towarzystwo duchowo-moralnego czytelnictwa”, założone m.in. przez W. A. Paszkowa w 1876 roku. Policja skonfiskowała wszystkie książki, broszury i Ewangelie jako niezgodne z nauką kościoła prawosławnego, a od W. A. Paszkowa i M. M. Korffa zażądano zaprzestania rozpowszechniania Ewangelii oraz literatury religijnej, niezgodnej z nauką wyżej wspomnianego kościoła. W. A. Paszkow odpowiedział: „Mógłbym zrzec się rozpowszechniania broszur, ponieważ są one rezultatem pracy prostych, śmiertelnych ludzi i

dlatego ich pożyteczność może być poddana pod dyskusję w poszczególnych wypadkach. Jednak zrzec się rozpowszechniania Ewangelii Świętej, Bożej Ewangelii, to jest ponad moje siły. Według mego przekonania podobne żądanie może być wysunięte tylko przez ludzi, którzy z jakiegokolwiek powodu zerwali wszelki związek z chrześcijaństwem, albowiem w Ewangelii, jak wiadomo, przedstawiono prawdziwą naukę Chrystusa, którą wszyscy powinniśmy naśladować”. Po złożeniu takiego oświadczenia władze kościelne wymogły na policji, aby emerytowany pułkownik, jeden z najbogatszych i wywodzący się z najznakomitszych rodów Rosji musiał niezwłocznie i na zawsze opuścić Rosję. Na wygnanie został również skazany najbliższy współpracownik W. A. Paszkowa, baron M. M. Korff, mieszkający w tym czasie z rodziną w Carskim Siole. Na przygotowanie do wyjazdu otrzymał „aż” 14 dni. Dnia 27 czerwca 1884 roku M. M. Korff wraz z rodziną wyjechał z Rosji i osiedlił się w Paryżu, gdzie tymczasowo zatrzymał się również W. A. Paszkow z rodziną. Pomimo prześladowań ze strony policji carskiej, jak również kościoła prawosławnego, praca rozwijała się dalej, może z mniejszym rozmachem w Petersburgu, ale z nie mniejszą aktywnością w innych częściach Rosji.

W innych częściach imperium rosyjskiego, a przede wszystkim na południu, praca była najlepiej zorganizowana. W Petersburgu dużą pracę w zborze wykonywały kobiety, ponieważ wielu braci zostało zesłanych na Sybir. Organizowane zjazdy na południu Rosji, były bardziej regionalnymi niż ogólnorosyjskimi. Pierwszy taki zjazd, zorganizowany przez społeczność baptystyczną, miał miejsce we wsi Nowo-Wasilewska w tawriczewskiej guberni w dniach od 30 kwietnia do 1 maja 1884 roku. Na zjeździe obecnych było 33 delegatów oraz zaproszeni goście, ale nie uczestniczyli przedstawiciele zborów z Kaukazu, chociaż przystali „usprawiedliwienie”. Głównym tematem konferencji była działalność misyjna poszczególnych rejonów i zborów. W celu usprawnienia pracy, teren południowej Rosji i Kaukazu podzielono na „strefy wpływów” oraz wybrano 8 misjonarzy, których głównym zadaniem miało być zwiastowanie Ewange-

lii w miejscowościach, gdzie już istniały zbory, jak również w innych. Prześladowania też miały swoje dobre strony. To może dziwnie brzmi, ale to prawda. Wielu wierzących ludzi wysyłanych z centralnej Rosji na zsyłkę za przekonania osiedlało się na Syberii, a część na południu i ich domy stawały się załóżkami zborów. Jeśli zaufamy Bogu, to On „dopuszcza, ale nigdy nas nie opuści”. Poza tematami misyjnymi omawiano, i to na każdym zjeździe, sprawę ofiarności zborów — a była to duża ofiarność tak zborów, jak i pojedynczych osób. „Dobrowolne ofiary są barometrem duchowego życia”, pisali uczestnicy zjazdów. Już na pierwszym baptystycznym zjeździe poruszono sprawę ordynacji, umywania nóg, zagadnienie Wieczery Pańskiej i chrztu. Delegaci zjazdu zdecydowali się pozostać „otwartymi” i nie narzucać zborom żadnych dyrektyw, „ze względu na tych, którzy jeszcze nie otrzymali światła od Pana, aby On coraz więcej rozjaśniał nam wszystkim o jedności Ciała Chrystusowego i uczynić to szczególnie przedmiotem modlitwy”. W czasie trwania pierwszego zjazdu I. Wilera wybrano przewodniczącym powstałego „Związku Rosyjskich Baptystów Południowej Rosji i Kaukazu”, a I. F. Isaaka (ze zboru mennonitów) kasjerem związkowej kasy. Poza tym podziękowano I. W. Kargielowi, przedstawicielowi „ewangelicznych chrześcijan” (z zachowanych dokumentów wynika, że zbor sewastopolski jako pierwszy przyjął nazwę „Zbór Ewangelicznych Chrześcijan”) oraz braciom z niemieckich zborów za wniesienie znaczących ofiar do kasy Związku. Związek był załóżkiem przyszłej pracy społeczności określanej mianem „ewangeliczno-baptystycznej”.

W następnych latach tzn. od 1885 do 1890 roku zjazdy były zwoływane przez wspomniany wyżej Związek, ale w latach 1890-1898 nastąpiły bardzo silne prześladowania. W tym okresie praca ograniczała się tylko do indywidualnej działalności misyjnej, ponieważ nie było żadnej możliwości organizowania zjazdów.

Na południu Rosji, na Kaukazie, jak również w Petersburgu działalność misyjna baptystów i „paszkowców” była już bardzo zaawansowana, gdy rozpoczęła się praca ewangelizacyjna w Mos-

kwie. S. W. Wasiljew w latach 1875-1878 rozpowszechnił około jedenastu tysięcy egzemplarzy synodalnego wydania rosyjskiego przekładu Nowego Testamentu. Oprócz niego około dziesięciu tysięcy egzemplarzy Słowa Bożego rozpowszechnił w latach 1878-1880 M. I. Sinicyn. Od 1878 roku wokół S. W. Wasiljewa zaczęła gromadzić się grupa osób pragnących studiować Słowo Boże. W 1878 roku po raz drugi przyjechał do Rosji lord G. Radstock, który tym razem odwiedził również Moskwę. W Moskwie zwiastował Słowo Boże, co nie pozostało bez echa. Aktywną działaczką zboru moskiewskiego (poprzez kontakt ze zbozem petersburskim nazywano ich „paszkowcami”) była hrabina Szuwałowa. W 1882 roku grupa zbierająca się wokół S. W. Wasiljewa i grupa wokół Szuwałowej połączyły się i powstał jeden zbor. Ten mały zbor, do którego należeli ludzie z różnych stanów, aż do najwyższych stopni wojskowych, w 1886 roku został poddany prześladowaniom, a wielu członków z tej społeczności zostało zesłanych aż na Zakaukazie. W zborze tym wielokrotnie zwiastował Słowo Boże misjonarz angielski, doktor filozofii, F. W. Baedeker, który w dużym stopniu przyczynił się do przebudzenia ewangelicznego w imperium rosyjskim. W 1877 roku F. W. Baedeker przybył do Petersburga z zamiarem kontynuowania pracy lorda G. Radstocka. Zwiastował on Słowo Boże przede wszystkim wśród arystokracji petersburskiej. Wspólnie z niektórymi wierzącymi miał możliwość odwiedzać petersburskie więzienia i zwiastować Ewangelię. Było to możliwe, ponieważ baron M. M. Korff był członkiem „Komitetu Petersburskich Więzień”, a generałowa E. I. Czertakowa była członkiem „Damskiego Komitetu Odwiedzających Więzienia”. Pobyt wśród więźniów poruszył go tak bardzo, że zdecydował się na pracę wśród nich. Dzięki staraniom E. I. Czertakowej oraz księżnej N. F. Liwien, doktor F. W. Baedeker uzyskał stałe zezwolenie na odwiedzanie więzień i rozmawianie z więźniami, ale tylko w Petersburgu. Nie kto inny, ale właśnie naczelnik wydziału więziennictwa namówił tego duszpasterza do odwiedzenia więzień we wschodniej Syberii. F. W. Baedeker skorzystał z tej okazji, a po otrzymaniu prze-

puszki — miał prawo „do odwiedzania rosyjskich więzień i rozdawania aresztowanym ksiąg Pisma Świętego” — w towarzystwie I. W. Kargiela odbył długą podróż przez europejską i azjatycką część Rosji aż na Sachalin. Nie ominął on ani jednego więzienia, ani jednego miejsca zesłania i transportu z uwięzionymi, wszędzie zwiastując Słowo Boże i rozdając Ewangelię. Ponad czterdzieści tysięcy uwięzionych miało możliwość słuchać Słowa o miłości Bożej do grzeszników, a ponad dwanaście tysięcy z nich otrzymało Ewangelię. Trudno ocenić, jak wielu z nich poznało Jezusa jako osobistego Zbawiciela, ale najważniejsze jest to, że ziarno zostało rzucone. W 1893 roku po raz ostatni objechał więzienia w Finlandii, a w następnym roku w towarzystwie Patwakana Taranca odbył długą podróż do miejsc zesłania i więzień, niosąc pokrzepienie i pocieszenie przede wszystkim tym, którzy znajdowali się w miejscach odosobnienia ze względów religijnych. Władze carskie nie pozwoliły na dalszą pracę misyjną F. W. Baedekera, bojąc się zapewne tego „groźnego” człowieka.

H. RYSZARD TOMASZEWSKI

Spieszymy zawiadomić, że od października br. rozpoczyna działalność nowopowstałe **Biblijne Seminarium Teologiczne we Wrocławiu**. Celem działania Seminarium jest przyczynienie się do rozwoju Kościoła Jezusa Chrystusa, przez przygotowanie odrodzonych ludzi do służby duszpasterskiej i do dzieła ewangelizacji oraz zakładania nowych zborów w Polsce.

Powstałe na gruncie Polskiego Kościoła Chrześcijan Baptystów, Seminarium ma za zadanie służyć wszystkim denominacjom ewangelikalnym w naszym kraju. Oferowane są trzy programy nauczenia: dwu i czteroletni program studiów stacjonarnych oraz program zaoczny.

Szczegółowe informacje na temat programów nauczania, zasad przyjęcia oraz odpłatności za studia można uzyskać, pisząc na adres biura Seminarium:

Z. Karel
ul. Wyspiańskiego 4
30-035 Kraków
(z dopiskiem „Seminarium”)

Kaznodziejstwo jest moją pasją

WYWIAD Z PASTOREM ANDRZEJEM BAJEŃSKIM

ВУБЕГ ЗНЕГГА



— Nosi Brat nazwisko znane dziś w środowisku ewangelicznych chrześcijan w naszym kraju, a coraz szerzej także za granicą. W Polsce pojawiło się ono w latach dwudziestych bieżącego wieku. Czy jest Brat spadkobiercą tradycji rodzinnych w dziele głoszenia ewangelii?

Jestem chrześcijaninem trzeciej generacji w naszej rodzinie. Zaczęło się od mojego dziadka, Pawła Bajęńskiego. Należał do Kościoła prawosławnego, kiedy jako młody człowiek zapoznał się z ewangelią i ją przyjął. Było to na wschodzie Polski. Potem, przez wiele lat, aż do końca życia zwiastował Jezusa innym, był znanym pracownikiem naszego Kościoła. Następnie ojciec. On, co prawda, nie miał większego wpływu na moje życie; zmarł gdy miałem siedem lat, ale też był człowiekiem wierzącym. W tym drugim pokoleniu spuściznę chrześcijańską bardziej dziedziczę po swoim stryju, Georg'u Bajęńskim, który był kaznodzieją tu, w Polsce, obecnie mieszka i pracuje dla chwały Bożej za granicą.

Tak, jest moim przywilejem mieć to nazwisko z pewnymi już, rodzinnymi, tradycjami w dziele głoszenia ewangelii. Dodam w tym miejscu, że kiedy myślę jak to dziedzictwo wpłynęło na moją

obecną służbę, to mam takie ukryte marzenie, ażeby kiedyś także mój syn chciał tę tradycję przedłużyć. Ale to nie ode mnie zależy, to Bóg powołuje.

— Zbór warszawski, jako pierwszy z kręgu Kościoła Zborów Chrystusowych przyjął nazwę autonomiczną „Chrześcijańska Społeczność”. Czy ten wyróżnik ma głębszy podtekst?

Ta nazwa powstała jeszcze wtedy gdy byliśmy częścią Zjednoczonego Kościoła Ewangelicznego, i wówczas, odpowiadając komuś na pytanie z jakiego jestem Kościoła, musiałem zawsze określać: Zjednoczony Kościół Ewangeliczny II Zbór w Warszawie. I Zbór, II Zbór, III Zbór... Myślałem, w jaki sposób uciec od pojęcia „zbór”, zwłaszcza, że w kręgach katolickich jest to rozumiane jako coś bardzo obcego, coś niemieckiego, coś nie polskiego. Tak zrodziła się nazwa „Chrześcijańska Społeczność”. Słowo „Społeczność” ma zastąpić określenie „zbór” czy „parafia”. Dlaczego „Chrześcijańska”? — Inne zbory nazywają się np. Betesda, Zbór Betesda. Przyznam się, nie lubię za bardzo tych hebraizmów, więc chciałem, aby było to coś komunikatywnego, a jednocześnie dawało wyraz temu, iż nie stanowimy jakiejś szczególnej grupy poza tym, że jesteśmy po prostu gronem chrześcijan. Warto może wiedzieć, że Kościoły Chrystusowe na zachodzie często noszą nazwę Christian Churches — Chrześcijańskie Kościoły. W sumie — taka była geneza „Chrześcijańskiej Społeczności”.

Natomiast, czy ma głębszy podtekst? Ma. Działamy w ramach Kościoła Zborów Chrystusowych, jesteśmy jego częścią. Z zasady Statutu Kościoła wynika, że Zbory powinny mieć, i mają, autonomię. Nadając imię własne

Zborowi staliśmy się więc niejako prekursorami tego typu działania również dla innych Zborów, co nie znaczy, że chcemy się odróżniać od innych. Chodzi o to, aby ludzie identyfikowali nas z konkretną społecznością, a nie z całym Kościołem, którego poszczególne Zbory naprawdę różnią się między sobą. To jest nasz wyróżnik, wyróżnik mówiący o pewnej autonomii, którą cieszymy się, szanujemy i bronimy...

Chciałbym jeszcze podkreślić dwie rzeczy. Po pierwsze — autonomia wyzwała inicjatywy. Natomiast, im większa jest nadbudowa, tym trudniej o realizację inicjatyw własnych.

Po drugie — jako Zbór wypracowaliśmy pewne wizje działań. Działając autonomicznie możemy poświęcić się całkowicie ich realizacji, bez zbędnych debat, targów, uzgadniania byle szczegółów.

Sądzę, że ideałem byłoby, gdyby swego czasu ZKE zreorganizował się nie na poszczególne denominacje, ale na federację autonomicznych zborów.

— Od ośmiu lat jest Brat pastorem największej społeczności Kościoła Zborów Chrystusowych, ale jak mi wiadomo prowadzi Brat — jako duchowny — szerszą działalność, wykraczającą daleko poza ramy Zboru. Jakich form pracy ona dotyczy?

Tak się złożyło, że jestem pastorem jednej z największych społeczności ewangelicznych w Polsce, ale to nie moja zasługa. Po prostu było mi to niejako darowane. Tutaj, w tym Zborze się wychowałem, ta Społeczność (po przejściu na emeryturę br. Jerzego Sacewicza, sen.) upoważniła mnie do prowadzenia Zboru.

Jaka jest moja szersza działalność? Myślę, że zmienia ona trochę swój kierunek w zależności od wieku i moich zainteresowań.

Do tej sfery mego życia zaliczam działalność wśród młodzieży. Przez lata, gdy byłem jeszcze liderem młodzieżowym, a też później, gdy przyjąłem na siebie obowiązki pastora, stale fascynowała mnie praca z młodymi ludźmi. M. in. powołałem do życia tzw. Międzykościelny Komitet Młodzieżowy, dzięki czemu doszło do zwołania trzech Ogólnopolskich Konferencji Młodzieżowych. Przez pewien okres prowadziłem szkolenia dla liderów młodzieżowych, do czego zresztą chcę wrócić w przyszłym roku. Wciąż lubię uczestniczyć w obozach i zimowiskach młodzieżowych.

Od wielu lat jestem stałym wykładowcą w Seminarium Teologicznym (dawniej przy ZKE, obecnie w ramach Kościoła Zielonoświątkowego), a także w Korespondencyjnym Seminarium Biblijnym K Zb Ch. Wykładam naukę o kościele oraz homiletykę. Niektórzy z moich byłych uczniów to dziś naprawdę wzięci kaznodzieje.

W kręgu moich zainteresowań leży również działalność wydawnicza. Czytam dużo literatury w języku angielskim, i co lepsze, wartościowsze pozycje promuję do przełożenia na polski. Część sam tłumaczmy i wydajemy, część zlecamy.

Myślę, że w temacie pytania mieści się także przyjmowanie i dystrybucja darów z zagranicy, którą od czasu naszego polskiego kryzysu w roku 1981 nasz Zbór prowadzi. Ta działalność „zjadła” mi ogromną ilość czasu i zdrowia wtedy gdy osobiście się tym zajmowałem, jak i potem gdy już tylko nadzorowałem.

Do wymienionych form moich poczynań dodam wreszcie i tę, która obecnie najbardziej mnie fascynuje i wciąga — misja szerzenia ewangelii w szerokim tego słowa znaczeniu.

Kiedyś, w czasie modlitwy miałem rozłożoną przed sobą mapę Polski. W promieniu mniej więcej 100 km od Warszawy naliczyłem około 60 miejscowości (mam na myśli miasta liczące minimum 10 tys. mieszkańców), w których nie ma żadnych Kościołów typu ewangelicznego. Nic przynajmniej o czym bym wiedział. Bóg położył mi na serce, aby w jakiś sposób do tych miast dotrzeć, a jednocześnie wskazał człowieka, który z czasem stał się moim asystentem, i to nie tylko w sprawach misyjnych.

Był czerwiec 1987 r. Pożyczyliśmy duży namiot, krzesła i przeprowadziliśmy pierwszą namiotową kampanię ewangelizacyjną. Po pięć dni byliśmy w Makowie, Ciechanowie i Grójcu. Dziś mamy tam zarejestrowane placówki misyjne. Dodam przy tej okazji, że ich liczbę uzupełnia Grudziądz, który zaistniał niezależnie od akcji „Biblia pod namiotem”.

Drugą, większą już kampanię zrobiliśmy w tym roku. Byliśmy w sześciu miastach, w każdym z nich przez tydzień. Głosiliśmy Chrystusa tym razem w: Płocku, Pułtusk, Puławach, Płońsku, Piasecznie i Ostrołęce. Po tej akcji przymierzamy się do otwarcia kolejnych placówek. Rozglądamy się za lokalami odpowiednimi do prowadzenia pracy duszpasterskiej w niektórych z odwiedzanym wiosną miast.

— To rzeczywiście ogrom obowiązków, których pogodzenie wymaga dużego zmysłu organizacyjnego, a także całego „sztabu” współpracowników. O nich dotychczas nie mówiliśmy. Poza tym, nie wspomniał Brat o innych cennych inicjatywach. Mam na myśli informator zborowy, (co zauważono na łamach „Chrześcijańca”), sprzedaż literatury chrześcijańskiej i Pisma Świętego, może jeszcze jakieś? Trzeba być prawie... dyrektorem, aby wszystko tak sprawnie funkcjonowało.

Inicjatyw można mieć mnóstwo, ale aby je obrócić w czyn potrzebni są ludzie. Kluczem do sukcesu są dobrzy współpracownicy. Rozpocznę od Rady Zboru, która bacznie mnie obserwuje i wspiera. Mam poza tym grono piętnastu etatowych pracowników. Są nimi: II Pastor d/s duszpasterstwa i administracji, II Pastor d/s młodzieży, trzej asystenci Pastora, redaktor opracowujący na komputerze wszelkie materiały przygotowywane do druku, brat odpowiadający za sprawy techniczne (samochody, audio video), kierownik sklepu z literaturą, sekretarka, administrator ośrodka szkoleniowego — wypoczynkowego w Ostródzie oraz czterech kierowników placówek misyjnych.

Są też współpracownicy społeczni, mianowicie: komitet d/s dystrybucji darów, osoby zajmujące się sprzętem nagłaśniającym i nagraniowym, obsługujące gości i konferencje, nauczyciele Szkoły Niedzielnej, muzyki.

W gronie tych najbliższych i najbardziej oddanych sprawie współpracowników winieniem wymienić też swoją żonę. To na niej spoczywa praktycznie cały ciężar prowadzenia domu, przyjmowania gości i tolerowanie mojego braku czasu.

Jeżeli chodzi o nasz mały biuletyn „Zborownik”, to była to niewątpliwie nowość na rynku ewangelicznym w Polsce. Nie wielka, ale pożyteczna rzecz, która z Bożą pomocą ukazuje się już piąty rok. Jest skierowany właściwie do członków Zboru, ale tą formą małej publikacji jest zainteresowanych także wiele sympatyków. W „Zborowniku” piszemy głównie o tym co nas czeka. Są więc informacje dotyczące uroczystości, konferencji, oczekiwanych gości. Są komunikaty dla Rady Zborowej, młodzieży, Szkoły Niedzielnej. Jest kącik na recenzję książki, którą warto przeczytać, na rocznice urodzin członków Zboru i... wykaz dyżurów czystościowych. Jest też miejsce na stałą rubrykę „Od pastora”, zawierającą małe refleksje na różne tematy.

Na bazie Zboru zrodziło się kilka lat temu Korespondencyjne Seminarium Biblijne i tu odbywają się jego zajęcia.

Z najnowszych inicjatyw, zaczyna się urealnianić sprawa sklepu, chrześcijańskiej księgarni. Chcemy ją uruchomić od grudnia. Aktualnie przeprowadzamy remont lokalu; mieści się w tym samym budynku co kaplica. Będziemy sprzedawali książki na miejscu, ale chcemy, aby to była równocześnie księgarnia wysyłkowa.

To tyle do tej pory. Natomiast nasza przyszłość to działanie misyjne. Mówić, jeszcze raz mówić ludziom o Bogu. Jak najwięcej i jak najszerzej.

— Co sądzi Brat o pojęciu „teren trudny do ewangelizowania”. Czy w ogóle takie istnieją?

W moim odczuciu takie tereny chyba nie istnieją. Myślę, że do zewangelizowania bywają trudne jednostki. Apostoł Paweł był prześladowcą Kościoła, a kiedy ewangelia go poruszyła — po prostu przyjął Chrystusa.

Bywa, że na jakimś terenie do niektórych ludzi w żaden sposób nie można dotrzeć z poselstwem Prawdy, ale są i tacy, którzy aż czekają na to, aby przyjść do nich

z ewangelią. Przekonaliśmy się o tym w czasie wspomnianej akcji „Biblia pod namiotem”. W większości miast frekwencja była bardzo liczna. Przeważnie wszystkie 250 krzesła były zajęte. Natomiast podwarszawska miejscowość Piaseczno wyróżniała się szczególnie, w negatywnym znaczeniu. Rozdaliśmy tam trzykrotnie więcej Ewangelii św. Jana i zaproszeń niż gdzie indziej, około 5 tysięcy. Zważywszy, że jest to miasteczko 15-tysięczne — otrzymała zaproszenie co trzecia osoba. Tymczasem zanotowaliśmy tam frekwencję najniższą. Był moment, że myślałem, iż w ogóle przerwę kazanie. W czasie zwiastowania wyczuwałem jakby mur. Było tak jakoś dziwnie. Nie mam odpowiedzi z czym to wiązać. Może rzeczywiście istnieje jakiś oporny teren, ale sądzę raczej, że to okoliczności mogą być bardziej lub mniej sprzyjające głoszeniu ewangelii.

— Żyjemy w czasach szczególnego propagowania haseł ekumenizmu. Jak daleka jest droga do jednego Kościoła Chrystusa na ziemi, w myśl słów ewangelii — „Jeden Pan, jedna wiara, jeden chrzest”?

Zacznę od tego, że nie wierzę w organizacje ekumeniczne, to jest w ich zjednoczeniowy charakter, ponieważ nie wierzę w organizacyjną jedność Kościoła.

Chrystus ma tylko jeden swój Kościół. Mówiąc o jedności miał na myśli jedność duchową. O tym trzeba pamiętać. Tymczasem, można mieć duchową jedność, a równocześnie żyć tak, że niszczy się jej oznaki. To tak, jak np. w małżeństwie: dwoje ludzi zawarło związek małżeński, ale żyją tak, iż bliźni myślą, że to są najgorsi wrogowie. Podobnie bywa z Kościołami. Jeżeli ty przyjąłeś Chrystusa i ja też, to jesteśmy braćmi, a naszym Ojcem jest Bóg. Możemy jednak postępować tak, że nie będzie oznak naszego braterstwa i ludzie pomyślą, że nie jesteśmy jedno.

Ekumenizm powinien wyphywać z potrzeb samych Kościołów, powinien być płaszczyzną dla realizacji wspólnych celów. Chęć współdziałania i poszanowania partnerów są tu zasadnicze. Jeżeli cele wyznaczają Kościołom organizacja poprzez swoją biurokrację, to jest to nie do przyję-

cia. Bezwzględnie, jestem za jednością chrześcijan, ale organizacja ekumeniczna dziś — to bardziej forum dla polityki kościelnych dygnitarzy niż działania jednoczące.

Przed paru laty, na ostatnim synodzie ZKE byłem jednym z inicjatorów myśli o powołaniu aliansu łączącego ludzi ewangelicznie wierzących w Chrystusa. Aliansu, który nie oznaczałby organizacji kierującej sprawami Kościołów, ale byłby forum do przedstawienia kim jesteśmy, czym aktualnie dysponujemy, co mamy do zaoferowania i co planujemy. Wiem, że w ostatnim czasie ta myśl ożywa i to mnie bardzo cieszy.

— Był bratem członkiem Naczelnej Rady Kościoła, z czego zrezygnował. Jak to się dzieje, że tak liczny Zbór nie ma w osobie Pastora swojego przedstawiciela w tejże Radzie. Czy jest to bez znaczenia?

Członkiem Rady Zjednoczonego Kościoła Ewangelicznego byłem przez dwie trzyletnie kadencje, a kilka lat dłużej pełniłem taką funkcję w Radzie Ugrupowania Kościoła Chrystusowego. Dlaczego zrezygnowałem? - Czasami niektóre z moich koncepcji, które chciałem realizować znacznie odbiegały od punktu widzenia na daną sprawę innych członków Rady w ramach Ugrupowania. Moje postulaty wydawały mi się na tyle słuszne, że nie zgadzałem się na ich podważenie. Z chwilą, kiedy K Zb Ch usamodzielił się, wiedziałem, że nadszedł czas sprawnego, szybkiego działania w miejsce tracenia czasu na jakieś specjalne deliberacje, wzajemne przekonywanie się. Wtedy ustąpiłem z Rady. Przyznam, nie traktuję tego lekko, ale postanowiłem sprawdzić siebie w działaniu, nie będąc członkiem Rady, a też pozwolić funkcjonować innym braciom bez mnie.

Uważam, że wpływ na całość pracy Kościoła, czy poszczególne Zbory można mieć niekoniecznie z racji sprawowania urzędu i posiadania praw wyphywających z tego tytułu. Jestem przekonany, że skuteczniejszą, od administracyjnych zaleceń, formą wpływu jest pozytywne działanie.

— A jaki jest brata stosunek do przeszłości Kościoła Zborów Chrystusowych w Polsce? Czy nie

należałoby, w ramach „pamięci o wodzach” naszych pielęgować wspomnień o poprzednikach, ojcach wiary? Nieliczne już tylko grono dzisiejszych członków zna fakty prześladowań i cierpień w więzieniach naszych braci w Chrystusie w okresie rządów Stalina.

Historia jest nauczycielką życia, pamiętam o tym. Staram się znać przeszłość naszego Kościoła i mieć w tej sprawie swoje zdanie, chociaż unikam jej oceny. Myślę, że nie mam do tego jakichś upoważnień. Rozumiem, że tkwimy w przeszłości, że przeszłość zawsze ma związek z teraźniejszością. Bezwzględnie zgadzam się z tym, że pamięć o wodzach wiary powinna być pielęgowana. Jednak na razie mój problem tkwi w tym, że jestem jeszcze, myślę, na tyle młody, że wciąż raczej patrzę ku przyszłości niż przeszłości. W ferworze dnia codziennego, w zatroskaniu o przyszłość Zboru, Kościoła, stale jakby nie starczało mi czasu na te ważne rzeczy, na zgłębienie przeszłości. Na pewno z wiekiem i to się u mnie zmieni.

Natomiast, co się tyczy znajomości faktów prześladowań naszych braci - poprzedników, przywódców, to powiem, że Kościół Chrystusa miał w każdym wieku swoich prześladowców. Akurat dzisiaj nie znosimy prześladowań, ale kto wie co przyniesie dzień następny.

— Zbór w Warszawie boryka się z poważnymi trudnościami lokalowymi. Są podejmowane kroki w celu polepszenia sytuacji. Na jakim jesteśmy etapie?

Nie da się nie zauważyć liczbowego wzrostu naszej Społeczności. Zapełnione wszystkie miejsca, łącznie z korytarzem, dzieci „upchnięte” w ławkach chóru, brak powietrza - to obraz naszych zgromadzeń w niedziele. Czasami, np. na Wielkanoc, zmuszeni byliśmy do posunięć niecodziennych. Aby móc swobodnie pomieścić wszystkich zbiorowników z ich gośćmi, musieliśmy wynająć większą salę. Ostatnim razem był to teatr.

Przez całe lata usiłowaliśmy zdobyć nową działkę, ażeby pobudować kościół wolnostojący, wraz z zapleczem. Nie udało się dotąd i nie wiem, czy trzeba to potraktować jako znak z nieba, że nie

powinniśmy mieć takich pragnień, że jeszcze nie nadszedł dla nas czas, czy też należy skuteczniej w tym kierunku działać. Na razie podjęliśmy decyzję, że zabudujemy całe podwórko budynku, w którym mieści się obecnie nasza kaplica. Da nam to w sumie, łącznie ze stanem obecnym, około 300-350 miejsc siedzących. Jesteśmy w tej chwili na etapie załatwiania formalności. Mam nadzieję, że może wiosną rozpoczniemy realizację planów. Tymczasem postanowiliśmy zdwoić liczbę porannych nabożeństw, choć nie bez pewnego żalu, bo zawsze chcielibyśmy być wszyscy razem.

„Chrześcijańska Społeczność” nie ogranicza swojej działalności do ram wewnętrznych i czysto ewangelizacyjno-misyjnych. Zbór uczestniczy w wielu różnorodnych akcjach na rzecz społeczeństwa, w którym żyje...

Przynajmniej dwie rzeczy wybijają się tutaj na czoło. Przede wszystkim jest to dystrybucja darów. Za pośrednictwem naszego Zboru przeszły dobra wartości blisko 70 milionów dolarów, przekazane przez różne organizacje misyjne, charytatywne z zagranicy. Był to sprzęt medyczny, leki, żywność, odzież, środki czystości. Odbiorcami, w skali kraju, zostały szpitale, apteki, Domy Dziecka, inne Zbory, Kościoły, ale też bezpośrednio zgłaszające się o pomoc do naszego Zboru osoby prywatne. Były akcje specjalne. Np. z okazji Dnia Dziecka czy Bożego Narodzenia, odżywkami firmy „Gerber” obdarowano najmłodsze dzieci z połowy Warszawy. Jest też kilka podziękowań, dyplomów, setki najróżniejszych śladów tego, że wielu ludziom pomogliśmy.

Druga sprawa, to akcje letniego i zimowego wypoczynku dla dzieci i młodzieży. Staramy się, aby 50% miejsc było zarezerwowanych dla osób spoza naszego kościelnego grona, aby nie było to tylko dla nas. Dopłacamy do utrzymania uczestników obozu. Jest to wkład może nie aż tak wielki, ale robimy co możemy, na ile nas stać. Nie jest to bez znaczenia w obecnej sytuacji materialnej wielu rodzin.

— Czy tak znacząca pomoc okazana przez Zbór polskiemu społeczeństwu została dostrzeżona przez administrację państwową?

Owszem. Ta służba została uhonorowana kilkoma odznaczeniami. Są to: z roku 1983 - Odznaka Honorowa za Zasługi dla m. Warszawy, a z września 1989 roku - Odznaka Przyjaciela Dziecka, przyznana przez Towarzystwo Przyjaciół Dzieci, oraz Srebrny Krzyż Zasługi nadany przez Radę Państwa.

Co prawda odznaczenia te zostały wpięte w moją klapę, ale traktuję je bardziej jako wyraz uznania dla „Chrześcijańskiej Społeczności” niż dla Andrzeja Bajeńskiego.

— Niektóre nasze Zbory odznaczają się od terminu „liturgia”. A przecież, z greki, oznacza to sposób odprawiania nabożeństw, pewien schemat, niekoniecznie traktowany jako kanon. Jakie jest Brata zdanie w tej kwestii?

Oczywiście zgadzam się, że niektórzy nie lubią nie tylko słowa „liturgia”, ale wszelkich słów, które płyną z tzw. kościelnictwa. Nie chcemy uprawiać kościelnictwa, chcemy, ażeby nasze chrześcijaństwo było życiem, nie mniej odżegnywanie się od pojęcia „liturgia” uważam za nieporozumienie. Każde nabożeństwo musi mieć swój plan, porządek, a porządek to po prostu liturgia. Może ona być uboga, albo ubogacona, przemyślana, albo chaotyczna, ale liturgia jest czymś od czego nie uciekniemy.

— W dużych Zborach coraz częściej podnoszą się głosy, aby w dobie zagrożeń chorobami XX wieku zmienić formę rozdzielania elementów Wieczery Pańskiej. Czy dla „Chrześcijańskiej Społeczności” nie stało się to jeszcze problemem?

Owszem, stało się. Stąd też podjęliśmy ten temat na zebraniu członkowskim i wprowadzamy novum. Muszę tu od razu koniecznie zastrzec, że dotyczy ono tylko sposobu przeprowadzania Wieczery Pańskiej, w żadnym zaś stopniu nie spacza jej istoty. I tak, każdej niedzieli podczas spożywania chleba i wina wspominamy Jezusa Chrystusa, Jego życie, odkupieńczą śmierć i zmartwychwstanie, wyglądając Jego chwalebny powrót. Wzorem wydarzenia w Wieczerniku podajemy rozłamany chleb, który symbolizuje umęczone ciało Jezusa,

a potem roznosimy wino, symbol przelanej - na znak „nowego przymierza” - krwi.

Chciałbym zauważyć, że sposób przeprowadzania Wieczery Pańskiej był i jest różny w różnych okresach i różnych kulturach. Żydzi i my używamy chleba bez kwasu. Większość Zborów używa chleba zwykłego. Kościół prawosławny - specjalnie wypiekanych bułek. Amerykanie stosują wyłącznie sok winogronowy, my prawdziwe wino, a w niektórych krajach azjatyckich stosowana jest herbata.

Był czas, kiedy stanowiąc niewielką społeczność wszyscy piliśmy z jednego kielicha. Potem wprowadziliśmy drugi, a teraz pragniemy wypróbować stosowane przez wiele Kościołów na Zachodzie indywidualne mini-kieliszki. W Piśmie Świętym nie znajduję teologicznych podstaw do tego, aby uważać, że byłoby to jakieś wynaturzenie Wieczery. Powody zmian są głównie higieniczne. Gdy z jednego kielicha korzysta 70, a czasem więcej osób, pojawiają się różne zahamowania.

W każdej dziedzinie życia zmiany przyjmujemy niechętnie, zwłaszcza gdy chodzi o sprawy uświęczone tradycją. Dlatego postanowiliśmy, że jeżeli po okresie kilkutygodniowej próby czyjeś przekonania nie pozwolą mu na taką formę uczestnictwa w Stole Pańskim - poszukamy wspólnie jakiegoś rozwiązania.

— Jest Brat znanym kaznodzieją. Należy żałować, że Brata budujące kazania nie znajdują miejsca w kościelnym organie prasowym „Słowo i Życie”, że szkoda dla czytelników oczywiście. Czy nie zamierza Brat pomyśleć także o publicystyce?

Przede wszystkim dziękuję za komplement, choć przyznam, że wolałbym być raczej cenionym, niż tylko znanym kaznodzieją. Jest wielu znanych kaznodziejów, którzy swoją popularność zawdzięczają niekoniecznie chlubnym powodom. Ale, jeżeli już jestem znanym kaznodzieją, to myślę dlatego, że kaznodziejstwo jest pewną moją pasją.

Co się tyczy publicystyki, to po trosze ją uprawiam. Np. 99% moich kazań jest całkowicie napisanych, zanim je wygłoszę. Oczywiście nigdy nie wygłaszam ich dosłownie tak jak napiszę, ale jest to w pewnym sensie publicz-

styka. Nazywam to publicystyką do ucha słuchacza, i jak na razie ... do szuflady.

Dla „Słowa i Życia” nie piszę po części dlatego, że brakuje mi czasu na doszlifowanie kazań dla potrzeb druku, a po części dlatego, że chyba nie do mnie winno należeć promowanie własnej kaznodziejskiej twórczości.

Na koniec dodam, że jest moim ukrytym marzeniem, aby kiedyś napisać książkę, ale to się chyba nigdy nie stanie.

— Jaką myślą chciałby się Brat podzielić z Czytelnikami na zakończenie naszej rozmowy?

Czasami zastanawiam się kim byłbym gdyby nie fakt, że Chrystus w pewnym momencie mnie za sobą pociągnął. Wolę nie myśleć! To On obdarował mnie dobrą rodziną, otwartym Zborem, oddanymi współpracownikami, kilkoma przyjaciółmi, uzdolnieniami oraz wieloma możliwościami różnorodnej służby. To On nadał sens biegowi mojego życia. Toteż myśl, którą chciałbym Czytelnikom pozostawić jest następująca. — Dać się pociągnąć za sobą Chrystusowi, to zyskać szansę fascynującego, choć może trudnego życia. Życia dającego głęboką satysfakcję, życia obfitego, jak na kartach Ewangelii obiecywał Chrystus. Życzę wszystkim Czytelnikom doświadczenia tej prawdy.

rozmawiał:
RYSZARD KRAWCZYK

Tekst wywiadu został przekazany w grudniu ub. r., Redakcja nie dokonała żadnych skrótów ani zmian.

Zbór w Gryficach

Gryfice to miasto położone w województwie szczecińskim, na Wybrzeżu Słowińskim, nad rzeką Regą. Już w X wieku były tu osady słowińskie, a w 1262 roku Gryfice otrzymały prawa miejskie. W tym małym, uroczym miasteczku dnia 21 stycznia 1990 roku odbyła się dla jednych wspaniała, dla innych bardzo dziwna uroczystość. W grudniu 1988 roku placówka zboru kołobrzeskiego w Gryficach, przekształciła się w samodzielny zbor. Członkowie tej małej społeczności zbierali się w mieszkaniu br. Henryka Zagrodnika. Mimo tak bardzo ciężkich warunków, ciągle przybywało wielu — głównie młodych ludzi, chętnych do słuchania Słowa Bożego. Zbór modlił się z wiarą, że znajdzie się obiekt nadający się na kaplicę, jak również ofiarodawca, który to sfinansuje. Poszukiwania trwały ponad rok, były oczywiście małe trudności, ale i tym razem wiele zrozumienia i serca okazał br. Paweł Bajko ze Stanów Zjednoczonych. To on przede wszystkim pomógł w zakupie obiektu dla Zboru w Gryficach.

Jak już wspomniałem, dnia 21 stycznia br. w zborze w Gryficach odbyło się poświęcenie nowego obiektu sakralnego. Pastor zboru, br. H. Zagrodnik powitał wszys-

tkich zebranych, przedstawił krótką historię powstania zboru i zaprosił do zwiastowania Słowa Bożego zaproszonych gości. W uroczystości uczestniczyło tak wiele osób (choć nie wszyscy usługuwali), że kaplica „pękała w szwach”. Główne kazanie na tym nabożeństwie wygłosił br. H. Sacewicz — Przewodniczący Naczelnej Rady Kościoła, w oparciu o Psalm 84,2-5. Kaznodzieja postawił bardzo aktualne pytanie, które mogłoby być — moim zdaniem — skierowane nie tylko do zebranych: „Czy Kościół jest naszym umiłowanym domem?”

Poza wspomnianym kaznodzieją usługuwali jeszcze inni bracia, a nabożeństwo zakończyła Wieczerza Pańska, którą w asyście starszych Zboru prowadził pastor br. H. Zagrodnik.

W uroczystości, poza Radą Zboru kołobrzeskiego, uczestniczyli członkowie Naczelnej Rady Kościoła: br. P. Wróbel, P. Karel, S. Kobus, A. Żegunia i R. Tomaszewski.

I jeszcze jedna ważna informacja. **Nabożeństwa w Zborze w Gryficach, mieszczącym się przy ulicy 6 marca 2, odbywają się w środy i piątki o godzinie 17.15 oraz w niedziele o godzinie 10.30.** Poza tym codziennie o godzinie 5.15 rano (to nie pomyłka) odbywają się w kaplicy spotkania modlitewne. W tym właśnie, wydaje się, należy szukać sukcesu tego zboru, który pozostawił nam odczucie wspaniałej chrześcijańskiej atmosfery oraz gościnności.

R. T.



Od lewej siedzą: br. P. Wróbel, br. P. Karel, br. br. S. Kobus i pastor w Gryficach br. H. Zagrodnik

LISTY DO REDAKCJI

Szanowna Redakcjo!

Od wielu miesięcy leżało mi na sercu pragnienie napisania kilku słów do Was i tą drogą podziękować za pamięć o mnie, którą wyrażaliście w regularnym przesyłaniu miesięcznika „Słowo i Życie”, za co jestem Wam bardzo wdzięczny. Był on jak uważam dobrym czasopiśmie, głoszącym Chrystua Ukrzyżowanego i Jego gorącą miłość względem człowieka — dążącym do współpracy z wierzącymi braćmi, mającymi na podstawie Słowa Bożego odmienne poglądy na tle korzystania z darów Ducha Świętego.

Nadmieniam, że potrafię współpracować z ludźmi, którzy zdążają ku temu, aby pisać i mówić o tym, co nas łączy a nie o tym, co pod wpływem ludzi, którzy nie przeżyli nic w swoim życiu starają się swoim rozumem i mądrością, która według Pisma Świętego jest głupstwem w oczach Bożych, siac oszczerstwa, oparte na tym co ktoś im powiedział. Nie mogę jednak na podstawie Słowa Bczego, jak i własnych, osobistych doświadczeń i przeżyć z moim Panem przemilczeć i pogodzić się z tym, co autor w miesięczniku „Słowo i Życie” nazywa „charyzmanią”. Gdy nawet jest coś niewłaściwego, nie możemy za to posądzać ogółu.

Niezrozumiałym jest dla mnie zarzut autora wobec tych, którzy rzekomo w dzikich i beładnych wybuchach mówienia językami **zakłócają poranne nabożeństwo niedzielne**. Uważam, że każde nabożeństwo powinno być równe sobie w oddaniu chwały dla Boga. Codzienne nasze życie powinno nim być. Czy autor chce przez to powiedzieć, że na innych nabożeństwach jest to normalne, dając właśnie nacisk na **poranne nabożeństwo niedzielne**?

Słowo Boże mówi nam nie tylko o fałszywych prorokach, lecz i o pasterzach i nauczycielach, o których autor wspomina. Niedorzecznością jest jednak w ogóle wyrzec się wszystkiego, co na podstawie doświadczeń nie się nam zbawienną korzyść. I tak dla przykładu podam niektóre myśli Pisma Świętego. W Ewang.

św. Jana r. 3 w.8 — Jezus mówi do Nikodema: „Wiatr wieje, gdzie chce i głos jego słyszysz, ale nie wiesz skąd przychodzi i dokąd idzie! Także jest każdy, który się narodził z Ducha”. W świetle tych słów zawarta jest prawda, że człowiek rozumem swoim nie jest w stanie w pełni zrozumieć działania Ducha Świętego. I Kor 14: 4 — ap. Paweł pisze: „Kto językiem obcym mówi, samego siebie buduje”. Czyż nie kryje się w tych słowach wielka prawda i nauka, że aby budować (uczyć) trzeba najpierw samemu być zbudowanym (nauczonym).

Pamiętam czas swego dzieciństwa, kiedy stawałem pierwsze kroki w szkole — uczono mnie wtedy pisania kresek, pałeczek itp, aby później z nich złożyć litery, a następnie słowa i całe zdania. Uważam, że tak też jest w szkole Bożej. Jako dziecko Boże doświadczyłem w życiu swoim spraw prawdziwych i kłamliwych. Te drugie jednak nie odstraszyły mnie, abym miał utracić wiarę w Dary Ducha Świętego w całej Jego pełni.

Nie mam zamiaru polemizować za wiele nad całością artykułu miesięcznika nr 10/89 dot. według opinii autora charyzmy i charyzmaniai, chcę tylko wydać świadectwo osobistego przeżycia, jak również byłem świadkiem innych osób, którzy dotknięci (nie porażeni) Mocą Bożą padali na ziemię. Dlaczego tak się działo? Tu chcę się posłużyć odpowiedzią, którą często stosuje wielki mąż Boży Billy Graham na wielkich zebraniach ewangelizacyjnych: „tego nie wiem, ale pewnego dnia dowiem się”.

Będąc osobiście na jednym z nabożeństw, przeżyłem to potężne dotknięcie Ducha Pańskiego. Stwierdzam, że byłem wówczas w potrzebie tegoż dotyku w moim

ciele. Problem jednak krył się w tym, że nie dowierzałem i podobnie jak autor artykułu „porażenie w Duchu” różnie myślałem o zjawisku padania. Wraz z wielu innymi wyszedłem jednak na wezwanie Ewangelisty i stanąłem w szeregu, mając w sobie silne postanowienie, że ja to na pewno się nie przewrócę. Zająłem ku temu też odpowiednią pozycję swoich nóg, aby jak to twierdzi autor, w chwili nacisku na czoło nie runąć. I rzeczywiście zdawałoby się, że dopiąłem swego, bo po modlitwie nade mną pozostałem na nogach, lecz nie na długo. Po modlitwie nad innymi osobami ów mąż Boży (czego nie uczynił wobec innych, którzy po jego modlitwie pozostali na nogach) ponownie podszedł do mnie i gdy tylko położył lekko rękę na moją skroń, zostałem jakby zelektryzowany i upadłem.

Krytyk zapyta: i cóż ci to dało? Odpowiedź krótka, lecz prawdziwa. Nadziemska radość i uwolnienie mnie z niemocy mego ciała. A cóż powie sędzia i stróż porządku w osobie autora na zjawisko, które wydarzyło się następnego wieczoru podczas modlitwy przez w/w Ewangelistę. Otóż gdy się modlił nad jedną osobą — cały szereg w liczbie około 30 osób runął jak pod wpływem silnego wiatru. A oto jeszcze jedno wydarzenie, które stało się z osobą (o poglądach autora) pochodzącą z Warszawy. Otóż pewnego dnia w obecności mojej starszej córki i teź osoby udaliśmy się na spotkanie przemysłowców (Full Gospel Businessman Meeting) w Montrealu. Ponieważ sala hotelu nie mogła pomieścić wszystkich, zajęliśmy miejsca na balkonie. Było wspólne śniadanie, a potem błogostawiony czas spotęności w uwielbieniu Pana w pieśniach i modlitwach oraz przez Słowo Boże, które głosił pod pomazaniem Ducha Świętego Ewangelista ze Stanów Zjedn. W końcu była modlitwa nad tymi, którzy byli w potrzebie. I tak jak wspominałem powyżej, pod wpływem

KORESPONDENCYJNE SEMINARIUM BIBLIJNE

zawiadamia, że rozpocznie wkrótce nabór na nowy dwuletni kurs.

Szczegółowe informacje pod adresem:

Korespondencyjne Seminarium Biblijne
02-620 Warszawa, ul. Puławska 114

jego modlitwy z wkładaniem rąk niektórzy upadli, niektórzy nie, z czego nasz gość z W-wy solidnie naśmiewał się, mówiąc: co on z nimi robi, dlaczego ich popycha? W tym momencie stało się coś, czego nie spodziewaliśmy się. Ewangelista z dolnej sali kieruje swoją rękę w stronę balkonu, gdzie po kilku słowach modlitwy nasz gość (krytyk) pada na podłogę. Zaznaczam, że nikt więcej na balkonie nie upadł. Nie było więc ani lekkiego ani mocnego popchnięcia przez człowieka lecz stało się to przez Moc z Wysokości.

Wiele wydarzeń zapisanych na stronnicach Pisma Świętego według opinii stróżów porządku byłoby nie do przyjęcia. Często zdarzały się z bezpośredniego nakazu Bożego. I tak na przykład, byłoby nie do przyjęcia to, co czyni prorok Agabus, prorokując uwięzienie Ap. Pawła (Dz. Ap. 21: 10-11). Krytyk powie — czy to było potrzebne: brać pas Pawła, wiązać sobie ręce i nogi, a wtedy dopiero prorokować? Czy możemy krytykować proroka za to? Nigdy. Ponieważ oznaczałoby to sprzeciwienie się Słowu Bożemu.

Więcej mógłbym pisać o tym, czego dotyczyły moje ręce i oglądały moje oczy. Uważam jednak, że już to, co napisałem jest za dużo uczynieniem woli Mego Pana, gdyż z Jego polecenia piszę te słowa.

Uważam także za swój święty obowiązek rzec się Waszego czasopisma „Słowo i Życie”, ponieważ przez artykuły pewnych ludzi wnosi rozterki i niezgodę.

Czynię to naprawdę z wielkim bólem i smutkiem, gdyż kocham Was miłością Bożą. Popierać jednak nie mogę ani duchowo ani też finansowo takiego stanu rzeczy.

Pozostaję w miłości do wszystkich miłujących prawdę. Wasz czytelnik i sługa Ewangelii Chrystusowej

JAROSŁAW BOJKO

Montreal, dn. 12.01.1990 r.

Drogi w Panu Czytelniku i Bracie!

Pragniemy podziękować Bratu za cytowany powyżej list oraz uwagi w nim zawarte. Jesteśmy niezmiernie wdzięczni za wszel-

kie uwagi płynące od Czytelników, ponieważ czasopismo to robimy dla nich i zależy nam na ich opiniach i informacjach czy „trafiamy” w ich potrzeby. Jednakże uważamy, że tytuł, jaki nadaliśmy temu miesięcznikowi — „Słowo i Życie” — zobowiązuje nas do czegoś. Mianowicie do tego, aby każdy temat, którym się zajmujemy, był rozpatrywany w świetle nauki Pisma Świętego. Słowo Boże i tylko ono może być probierzem prawdziwości jakiejś doktryny czy praktyki. Dlatego też zarzut, że jesteśmy ludźmi, „którzy nic nie przeżyli w swoim życiu i starają się... siać oszczerstwa, oparte na tym, co ktoś im powiedział” uważamy za bezpodstawny i krzywdzący. Wynikałoby z tego, że nasza wina polega na tym, iż nasze przeżycia nie są źródłem naszych przekonań.

Artykuł „Dlaczego charyzma często zmienia się w charyzmanię” miał za zadanie wskazać na pewne, naszym zdaniem niepokojące zjawiska, jakie mają od czasu do czasu miejsce w tzw. kręgach charyzmatycznych. Niepokojące dlatego, że mające niewiele wspólnego z Biblią, a niekiedy na ślepo przypisywane działaniu Ducha Świętego. Celem artykułu z pewnością nie było sianie „rozterek i niezgody”, ale raczej próba przyjrzenia się takim praktykom z perspektywy Słowa Bożego.

Teraz chciałbym odpowiedzieć na dwa konkretne Brata zarzuty.

Po pierwsze, mówienie językami podczas nabożeństw. Wraz z autorem artykułu stoimy na stanowisku, że publiczne nabożeństwo nie jest miejscem na praktykowanie daru mówienia językami. Wydaje się, że nie jesteście odosobnieni w tym przekonaniu. W 1 Kor 14,4 ap. Paweł pisze: „Kto mówi językami, siebie tylko buduje”. Apostoł pisze dalej, że kiedy mówimy językami, w Duchu wystawiamy Boga. Jeżeli jednak robimy to w kościele i nie ma kogoś, kto mógłby tłumaczyć, drugi człowiek nie może powiedzieć „amen” po naszym dziękczynieniu, gdyż nie rozumie tego, co mówimy — co więcej, jeśli nie wie, o co chodzi, może pomyśleć, że szalejemy! (1 Kor 14,23). Oczywiście, nie mamy zamiaru kwestionować wypowiedzi ap. Pawła, w której dziękuje Bogu za to, że mówi językami więcej niż wszyscy Koryntianie. Później stwierdza jednak, że kie-

dy jest w kościele, woli powiedzieć pięć słów w zrozumiałym języku niż dziesięć tysięcy w niezrozumiałym. Jeżeli ap. Paweł mówił językami więcej niż wszyscy Koryntianie (14,18), a mimo to nie chciał praktykować tego daru w Kościele (14,19), musimy przyjąć, że modlił się i śpiewał w Duchu na osobności. Skoro zatem dar mówienia językami buduje wierzącego, który praktykuje ten dar i lepiej jest nie robić tego w czasie publicznych zgromadzeń, a jeśli nie ma tłumacza, jest to nawet zabronione — to jedynym miejscem, jakie pozostało na praktykowanie tego daru jest osobiste życie duchowe chrześcijanina.

Natomiast położenie nacisku na „poranne nabożeństwo niedzielne” było niezamierzone i wynikało z pewnych skrótów dokonanych przez redakcję. Z pewnością nie ma powodu, aby w tym kontekście wyróżniać właśnie to nabożeństwo.

Po drugie, zjawisko „porażania w Duchu”. Nie mamy żadnych podstaw, aby kwestionować autentyczność takich przeżyć (tym bardziej w świetle Brata świadectwa) i zgadzamy się, że nie można uogólniać spostrzeżenia autora dotyczącego „fizycznej pomocy” w uzyskaniu tego zjawiska. Zresztą nie taka była chyba intencja autora. Poza tym, praktyka ta, w porównaniu z innymi omówionymi w tym artykule wydaje się być zupełnie „niegroźna”, co więcej, może chyba nawet przynosić pewne korzyści natury emocjonalnej (choć nie tak dawno temu pewien człowiek z zachwytem składał mi świadectwo o tym, jak podczas nabożeństwa został potężnie dotknięty „mocą Bożą” — tak potężnie, że upadł i rozbił sobie dość dotkliwie tył głowy o kant ławki. Nie wiem czy byłby równie zachwycony, gdyby przy tej okazji doznał wstrząsu mózgu czy pęknięcia podstawy czaszki). Jedyne, co budzi nasze poważne wątpliwości, to absolutny brak jakiegokolwiek podstawy biblijnej dla tego przeżycia. Naszym zdaniem na gruncie Słowa Bożego nie można rozstrzygnąć czy stoi za nim Duch Święty, czy po prostu ludzka dusza z jej emocjami. Zgadza się oczywiście, że nie można „szufladkować” działania Ducha Świętego, ale ten zarzut odnosi się chyba nie tylko do nas. Można przecież zauważyć, że

gdy gdzieś w Kościele pojawia się w pewnym momencie jakieś tego typu zjawisko (które jak najbardziej może być autentycznym działaniem Ducha), natychmiast w kręgach charyzmatycznych następuje „zapotrzebowanie” na dokładnie to samo przeżycie i gonitwa za nim. Można by postużyć się tutaj Brata przykładem o proroku Agabusie. To, że Agabus związał sobie ręce i nogi pasem było częścią składową jego pro-roctwa i autentycznym działaniem Ducha Bożego. Ale co stałoby się, gdyby w związku z tym zaczęto nagle w Kościele uważać, że znakiem autentycznego pomazania proroka jest związywanie się pasem?

Stwierdzamy więc, że nie wiemy czym i skąd jest to zjawisko i dlatego nie będziemy o nie zabiegać ani nikogo do jego przeżycia zachęcać. Możemy powtórzyć za autorem artykułu, że nie doświadczaliśmy jeszcze całego bogactwa, jakie niesie działanie Ducha Świętego w naszym życiu, a Pismo Święte mówi nam o tylu rzeczach, które jeszcze nie stały się naszym udziałem, że z pewnością nie musimy poza nie wychodzić.

Kończąc, pragnę Brata zapewnić, że nadal pragniemy (choć w liście jest to niestety napisane w czasie przeszłym) „głosić Chrystusa Ukrzyżowanego i Jego gorącą miłość względem człowieka, dążąc do współpracy z wierzącymi braćmi”, także tymi, którzy mają odmienne przekonania w niektórych kwestiach. „Wszystkiego doświadczajcie, co dobre, tego się trzymajcie”.

Pozostając w miłości Chrystusowej

PIOTR BRONOWSKI

WIŚNIOWA 1990

W dniach od 30 stycznia do 9 lutego 1990 r. odbyły się kolejne, organizowane przez Kościół Zbó-rów Chrystusowych w Dąbrowie Górniczej, zimowisko (słuszniejsza nazwa „wiośnisko”), po raz drugi w Wiśniowej, w gościnnym domu p. Zofii Twardosz.

Mogliśmy spędzać tutaj wspa-niałe chwile. Po długich, cieka-wych spacerach, rozmawialiśmy o pięknie Bożego stworzenia, które to piękno zauważaliśmy na każdym kroku. Dopisywała nam również pogoda, pod warunkiem, iż się zapomni, że nie dostar-czono śniegu.

Oprócz sportu i wypoczynku mieliśmy bardzo ciekawe wykła-dy, które prowadzili: s. Wiesława Naumiuk (z Warszawy) — dla grupy młodszej i br. Jarosław Sciwiarski (II Pastor, duszpasterz młodzieżowy Kościoła w Dąbro-wie Górn.) — dla starszych. Wykła-dy te pozwoliły nam wszystkim — i młodszym i starszym — przybliżyć się do Boga. Były również wieczory ewangeliza-cyjne, w których „Słowo” przep-latało się z „życiem”. Wieczory te pokazywały jak „Słowo” (J 1,1) zmienia „życie”. Kilku (10) mło-dych, a nawet bardzo młodych, uczestników zimowiska postano-wiło oddać swoje życie w ręce Jezusa. Kilku innych odnowiło swoje przymierze z Bogiem, szcze-gólnie pod wpływem słowa o

Przemienieniu Pańskim zwiasto-wanym przez Pastora Henryka Sacewicza.

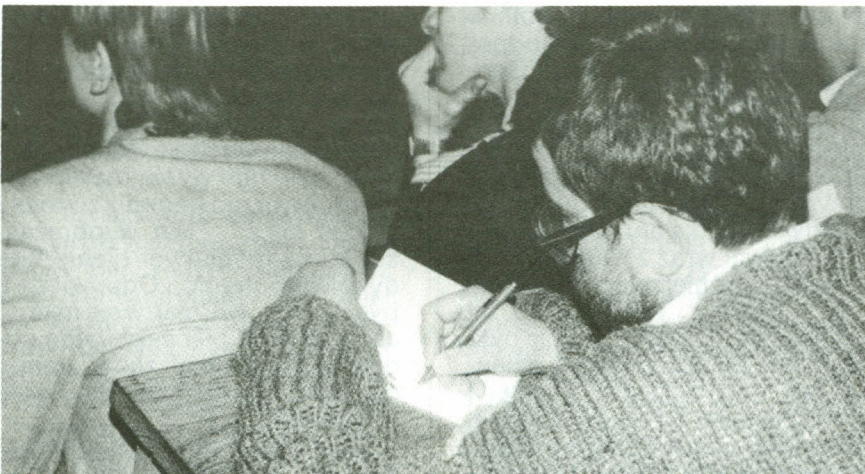
Dużą atrakcją była wycieczka autokarowa po nowosądeckczyź-nie. Zwiedziliśmy kościółek w Dębnie (zabytek klasy zerowej), oglądaliśmy Trzy Korony, prze-piękną panoramę Tatr i Pienin, malownicze krajobrazy nad Du-najcem i Popradem. Przekona-liśmy się też, że i o tej porze roku Krynica posiada swój szczególny urok.

Dwa dni przed zakończeniem zimowiska odbył się „Dzień Kur-santa”, w którym całą „władzę”, łącznie z kuchnią, wzięli w swoje ręce uczestnicy turnusu. Płeć męska mogła się przekonać, że wśród kursantek są takie, które potrafią „przez żołądek trafić do serca”. W dniu tym było wiele zabawy. Wujek Heniek stwierdził, że był to jeden z niewielu, jakie zna, dni kursanta, w którym „kur-santowy personel” potrafił utrzy-mać się do końca dnia (choć nie zabrakło ulotek z hasłem: Precz z ...). Pointą tego dnia było ognisko, na które czekaliśmy nie tylko ze względu na kiełbaski. Był to czas, w którym mogliśmy poroz-mawiać, a spoglądając w iskrzący się gwiazdami nieboskłon, wielbić Stwórcę pieśniami i mod-litwą.

Pomocnymi w przyswojeniu prawd biblijnych były filmy vi-deo, oparte o Słowo Boże.

Naszymi opiekunami byli: ciocia Wiesia Naumiuk oraz ciocia i wujek Podwysoccy (z W-wy). O nasze żołądki dbały natomiast „ciocie kucharki”, tj. c. Stasia Bąk (Kościół w Sosnowcu) i Hania Czaj (Dąbrowa Górnicza). Nas, kursantów było 32 - z Warszawy, Grójca, Siemianowic, Jaworzna, Sosnowca i Dąbrowy Górniczej. Całe zimowisko mogło się odbyć dzięki pomocy finansowej br. Pawła Bajko, Ludwika Komoro-wskiego oraz Fundacji „Słowo Życia” w osobie br. Władysława Dwulata. Bez tej pomocy nie byłoby to możliwe, nie mielibyśmy tak wspaniałego wypo-czynku. Najbardziej wdzięczni jesteśmy Bogu, gdyż to On, uży-wając ludzi, pozwolił na zorgani-zowanie tegorocznego zimowiska i to właśnie On wspaniale ochra-niał nas przez cały czas pobytu w Wiśniowej.

DARIA I ESTERA



W oka mgnieniu

„Lecz jak niebiosa są wyższe niż ziemia, tak moje drogi są wyższe niż drogi wasze i myśli moje niż myśli wasze”
(Iz. 55,9)

Śmierć nadjechała z lewej strony, nie zważając na zielone światło dla pieszych. Skręcający w prawo rozpędzony autokar w jednej chwili brutalnie przerwał życie 14-letniego ucznia szkoły średniej. Sprawcą tragedii był pojazd dowożący niepełnosprawne dzieci do jednej z kanadyjskich szkół. Za kierownicą siedziała przerażona młoda kobieta, wpatrująca się w ciało leżącego na białych pasach młodziemca, któremu spod marynarki wysunął się wąski, skórzany krawat. Kałuża krwi i mózg ofiary zdawały się krzyczeć: - TRAGEDIA!, a oczy wpatrywały się w kierowcę, pytając: - DLA-CZEGO? Rozsypane zeszyty i książki. Kilka metrów dalej - o dziwo - niestłuczone okulary w drucianej oprawie, odbijające refleksy porannego słońca; ocalałe, a ich właściciel rozbity.

Młodzięz śpiesząca 16 lutego 1989 roku do Instytutu O'Neill'a rozpoznała w leżącym „chłopca w krawacie”. Ten slogan reklamowy przyjął się z czasów kampanii wyborczej do samorządu szkolnego, którą uczeń wygrał. Tylko przejście dla pieszych i zaledwie kilka domów dzieliło młodego człowieka od budynku, w którym byłby bezpieczny.

Wiedział, że był to ważny dzień w jego życiu. Miał przy sobie pismo z wykazem przedmiotów, które za aprobatą rodziców zaakceptował do dalszej edukacji, a tego dnia zamierzał przedłożyć je dyrekcji.

Wyboru szkoły dokonał sam. Instytut rozwijał artystyczne uzdolnienia chłopca, pragnącego kontynuować rodzinne tradycje muzyczne. Ciekawy był wiedzy i chłonną ją pośpiesznie, ponieważ, jak mawiał, mało tych pięciu lat, aby zgłębić całą. Uczył się tu dopiero od sześciu miesięcy, a często powtarzał: „Nigdy jeszcze w moim życiu nie byłem tak szczęśliwy,

ale 5 lat szkoła to za mało, aby przerobić wszystkie przedmioty, które bym chciał. Tak naprawdę nie starczyłoby życia, żeby zrobić to co zamierzam”. Była to wymarzona szkoła jego życia, dlatego chętnie angażował się w jej działalność. Jako członek chóru szkolnego śpiewał w basach. W orkiestrze grał na trąbce. Przewodził szkolnej grupie chrześcijańskiej.

Był jednym z tych dzieci, które wiedziało kim jest i dokąd zmierza, zgodnie z ewangelicznym wychowaniem jakie otrzymał w rodzinie. Potwierdził to dwa lata wcześniej, kiedy publicznie ofiarował swoje życie Bogu, przyjmując chrzest wiary. Był świadkiem Jezusa w słowie i czynie, wobec młodych, starszych i najstarszych. Jako chrześcijanin o wesołym i otwartym usposobieniu był pozytywnie ustosunkowany do tego co go otaczało. Posiadał dar zjednywania sobie przyjaciół. Miał dobre i życzliwe serce, dzięki czemu pocieszał innych i pragnął czynić ludzi szczęśliwymi. Mimo młodego wieku nie ulegał presji swoich rówieśników. „Ciepły, łagodny duch” - powiedziała o nim matka.

BENJAMIN PETER urodził się 26 sierpnia 1974 roku w Lincoln w stanie Illinois w USA. Był odpowiedzialny na modlitwę Verry i George'a **BAJEŃSKICH**. Jako dziecko misjonarskiej rodziny bardzo często zmieniał miejsce pobytu. Swoją pierwszą „misyjno-służbową” przygodę rozpoczął gdy liczył zaledwie... kilka dni życia. Odtąd podróżował wraz z rodzicami po świecie, przemierzając kraje Ameryki i Europy. W ciągu 10 lat uczęszczał do 5 szkół. To nie było łatwe ani dla uczącego się dziecka, ani dla rodziców. Z chwilą przejścia syna do szkoły średniej rodzice postanowili zapewnić Benowi stabilizację. Myśleli, że szczęś-

cie zajrzało do domu na zawsze. Często zapewniano się o wzajemnej miłości. Co prawda martwiono się o stan zdrowia ojca Verry, gdy tymczasem zmarł nagle jej starszy brat, ulubiony wujek Bena. Ta śmierć była dla Benjamina bezpośrednim bodźcem do opowiedzenia się po stronie Boga. Niedługo potem opuścił ziemską rodzinę dziadek Bena - br. John K. Huk, senior, misjonarz znany również w Polsce. Wydawało się, że teraz już długo nic nie zamąci spokoju.

Lato 1989 roku rodzina G. Bajęńskiego spędziła częściowo na Białorusi, szukając tam swoich korzeni po linii Verry, a resztę urlopu w Polsce, ojczyźnie George'a. Ben powrócił z matką do Kanady pod koniec sierpnia. Ojciec zatrzymał się jeszcze w Warszawie, z którą był związany niemal od dzieciństwa, aby uczestniczyć w uroczystościach połączonych z 40-leciem założenia w tym mieście Zboru Kościoła Chrystusowego. Wrócił do Kanady we wrześniu. Nie spodziewali się, że zostały im tylko miesiące cieszenia się sobą.

Ben bardzo często nosił koszulki sportowe z ulubionym nadrukiem „W jednej chwili, w oka mgnieniu!” Cytat z I Listu do Koryntian (15,52), swoistego rodzaju memento, jakże jest wymowny w kontekście tej historii.

Rodzice z dumą myśleli o dynamicznym rozwoju swojego dziecka. Wiąż między synem a rodzicami była bardzo silna. On był ich dumą, nadzieją na przyszłość, oni — najlepszymi, najdroższymi rodzicami świata. Uczucia macierzyńskie Verry, jako osoby wrażliwej, były nad wyraz rozwinięte. Niedługo przed tragedią zwróciła się do syna: „Nie wyobrażam sobie, że mogłabym ciebie kiedykolwiek utracić”. Odpowiedzią były słowa: „Nie martw się mamó. Jeżeli odejść pierwszy, będę codziennie odkurzał złotą bramę, czekając u wrót nieba na twoje przybycie”.

Ostatniego wieczora długo rozmawiano o przyszłości syna. On

sam snuł marzenia i dokonywał realnych ocen swoich możliwości w ramach własnych zainteresowań. Położył się spać późno, ponieważ nie mogli się jakoś rozstać. Matka pożegnała go, jak zwykle, czułymi słowami. Rano do dworca odwiózł syna ojciec. Kiedy George wrócił do domu, aby zagłębić się w pracę, o 8.45 zadzwonił telefon. Suchy głos zawiadomił, że powinni zgłosić się jak najszybciej w szpitalu Pogotowia Ratunkowego, położonego blisko szkoły, w sprawie związanej z wypadkiem syna.

Ze świadectwa matki: „Jechaliśmy ulicą, którą Ben przemierzał codziennie. Nie wiedzieliśmy jeszcze o tragedii. Im bliżej miejsca wypadku, tym większe zagęszczenie aut i rozbłyskujących świateł policyjnych samochodów i karetek pogotowia. Migwały flesze reporterów prasowych. Spojrzałam na drogę ogarniętą nieodrodnym przeczuciem, ale nie zauważyłam rozsypanego szkła czy innych śladów jakiegoś wypadku. Kiedy jednak zbliżyliśmy się do przejścia dla pieszych zobaczyłam największą jaką dotąd w życiu widziałam kałużę krwi. George, nasz Ben poszedł do domu — powiedziałam. W jakimś odruchu chciałam pozbiierać tę krew i włożyć ją do ciała; droga, jak każda ulica nie była dość czysta, nie była miejscem dla krwi. Była to najdroższa dla mnie, życiodajna krew mojego syna, którego tak kochałam. Wiedziałam już co się stało, ale ciągle odpychałam najgorsze myśli. Nagle nasunęła mi się analogia do krwi Chrystusa, przelanej również za moje winy. Jak droga była ta krew dla Boga i czyż mógł mi dać więcej w ofierze? Teraz Bóg przemówił do mnie bezpośrednio, poprzez śmierć mojego jedynego syna, Benjamina. Jakże silne było w tym momencie moje doświadczenie ewangelicznej prawdy o zbawieniu poprzez ofiarę Jezusa. W tej arcytrudnej dla mnie sytuacji wyszeptalam: — Dziękuję Ci Panie!”

Późniejsze wydarzenia były już tylko przeżyciem wtórnym. Oczywiście, Ben w tym zderzeniu z żelaznym autobusem nie miał szansy. Śmierć nastąpiła natychmiast. Dodatkowym wstrząsem dla rodziców było podtrzymywane życie biologiczne organów wewnętrznych. Musieli zdecydować czy ich dziecko może być



dawcą dla ludzi czekających na przeszczepę. Zdecydowali się. Dziś wiedzą, że na tym ziemskim padole żyją cząstki ich ukochanego syna.

DLACZEGO Ben? Dlaczego nie kto inny? DLACZEGO? Najtrafniej chyba odpowiedział jeden z przyjaciół: „Pan mówi mi, że powodem, dla którego był to Benjamin Peter Bajęński pozostaje fakt, że był on młodzieńcem najbardziej przygotowanym do spotkania z Bogiem. Lider młodzieżowej grupy ewangelicznej, o czystym sercu i szlachetnym charakterze z pewnością jest tam, gdzie każdy chrześcijanin ma nadzieję się znaleźć, kiedy jego życie dobiegnie końca. Co jednak by było, gdyby zamiast niego odszedł ktoś kto nie był chrześcijaninem? Kiedy pomyślę, że mogłem to być ja, to naprawdę zaczynam egzaminować siebie i sprawdzać na czym faktycznie stoję.”

Dlatego może właśnie Ben...

Pozostawił rodziców, krewnych, przyjaciół, wielu znajomych. Swoim odejściem zatrzymał w pędzie codziennych obowiązków ogromną ilość osób. Wielu zmusił do zastanowienia się **DOKĄD IDZIEMY?** Tym, którzy wiedzą — przypominał, że życie na ziemi jest wobec wieczności tylko chwilką i trzeba być gotowym. Zawsze gotowym! Benjamin znał swój cel w życiu i wiedział dokąd dążył. Bóg wezwał swojego trębacza. Odszedł „w jednej chwili, w oka mgnieniu”.

Niniejsze wspomnienie ukazuje się w pierwszą rocznicę tragicznego wydarzenia. Relacja została sporządzona na podstawie świadectwa rodziców, członków rodziny oraz korespondencji kolidencyjnej przyjaciół.

Przyczyn, dla których zdecydowano się na tę publikację jest kilka. Benjamin Bajęński był chłopcem znanym w środowisku Zboru warszawskiego oraz młodzieży spędzającej wakacje w Ostródzie. Charakterystyka jego osobowości może posłużyć młodzieży za przykład życia chrześcijańskiego, natomiast postawa, jaką wobec faktu przyjęli rodzice świadczy o całkowitym posłuszeństwie woli Bożej.

Śmierć jednego człowieka uratowała w sensie fizycznym, a też duchowym, życie innym. Poza tym, otworzyła młodym ludziom możliwość dokształcania się w dziele Ewangelii, w szerokim tego słowa znaczeniu. Mianowicie, dotarła do Polski wiadomość, że przy Global Missionary Radio Ministries (Kanada) powołano Fundację Pamięci Benjamina Bajęńskiego. Jej zadaniem jest pomoc finansowa ułatwiająca odbycie studiów teologicznych w amerykańskich uczelniach chrześcijańskich z Europy Wschodniej. Pragniemy poinformować, że z pomocy takiej korzystają aktualnie br. br. Władysław Jurków i Jan Barczuk.

RYSZARD KRAWCZYK

W powyższym tekście Redakcja nie dokonała żadnych skrótów ani zmian.

Człowiek za sterami

24 lutego 1989 roku kapitan David M. Cronin pilotował rejs nr 811 amerykańskich linii lotniczych United Airlines z Honolulu na Hawajach do Auckland w Nowej Zelandii. Samolot, Boeing 747, osiągnął właśnie pułap 7000 metrów. Pomimo lekkiej burzy wszystko zdawało się przebiegać zwyczajnie i rutynowo.

Nagle w prawej burcie samolotu powstała wyrwa o wymiarach 3,5 na 6 metrów, co spowodowało ogromną dekompresję. Najwidoczniej drzwi do ładowni nie były zamknięte prawidłowo albo zepsuł się w nich zamek. Dziewięć osób zostało wyspanych z Jumbo Jeta, by ponieść śmierć nad Oceanem Spokojnym.

Kapitan Cronin, mający 23 marca przejść na obowiązkową emeryturę w wieku 60 lat, zdołał doprowadzić samolot z powrotem do Honolulu w ciągu 18 minut, które dla pasażerów musiały trwać całą wieczność. Wykorzystując całą swoją wiedzę nabytą w ciągu trzydziestu ośmiu lat latania, zmagając się z utratą dwóch z czterech silników, zablokowaną klapą na prawym skrzydle oraz prawdziwymi trąbami powietrznymi wdierającymi się przez otwór do wnętrza maszyny. Trzystu czterdziestu pięciu pasażerów i członków załogi wychwalało go później pod niebiosa za podejmowanie właściwych decyzji i bohaterskie porządzenie sobie z tak poważnymi kłopotami.

Kiedy ma miejsce tego typu niebezpieczna sytuacja, która spowodowała już śmierć kilku osób i zagraża śmiercią wszystkim pozostałym, człowiek chce,

aby za sterami Jumbo Jeta zasiadała właściwa osoba. I tak samo przy sterach wszechświata.

Osoba — Jezus Chrystus — jest tym, który wieki temu stworzył ten wszechświat i który nadal podtrzymuje go swoją mocą. „Wszystko przez nie powstało, a bez niego nic nie powstało, co powstało” (Jan 1,3). „Ponieważ w nim zostało stworzone wszystko, co jest na niebie i na ziemi, rzeczy widzialne i niewidzialne, czy trony, czy panowania, czy nadziemskie władze, czy zwierzchności; wszystko przez niego i dla niego zostało stworzone. On też jest przed wszystkimi rzeczami i wszystko na nim jest ugruntowane” (Kolosan 1, 16-17). „On, który jest odblaskiem chwały i odbiciem jego istoty i podtrzymuje wszystko słowem swej mocy” (Hebrajczyków 1, 3).

Fakt, że On stworzył nasz kosmos i kieruje nim nie oznacza, że jest odpowiedzialny za wszystko, co się w nim dzieje. Ziemia nie tylko narażona jest na przypadkowe nieszczęścia, ale także śmiertelnie skażona z powodu grzechu, który jej pasażerowie wnieśli na pokład.

Pomimo okropności grzechu, utraty tylu ludzi z powodu śmierci i niebezpieczeństwa grożącego pozostałym, Bóg Syn nigdy nie porzucił swojego stworzenia. Nadal kocha nas swoją wieczną miłością. Jego woła nie jest zguba nawet jednej osoby. I nadal siedzi przy sterach tej okulaowanej, trzęsącej się, pikującej w dół planety.

Wybawienie — Drugi pilot, Mark Thomas, interesująco sko-

mentował zmagania kapitana Cronina z kryzysem w powietrzu podczas lotu nr 811. Wybawienie 345 przerażonych ludzi przypisuje on osobistej odwadze i doświadczeniu pilota, nie zasadom lotu podawanym w podręcznikach. „Podręczniki podają warunki lotu przy nie pracujących dwóch silnikach. Podają warunki lotu przy zablokowanych klapach”, powiedział Thomas. „Ale nie podają warunków lotu przy nie działających dwóch silnikach, zablokowanych klapach oraz z olbrzymią dziurą w kadłubie”.

Zbawienie nawet jednej osoby także nie będzie zależało od podręczników. Zasady nie wystarczą do wybawienia nas od grzechu, śmierci i piekła. Osądzając według zasad, werdykt jest jasny: „Nie ma ani jednego sprawiedliwego” (Rzymian 3,10). „Dlatego z uczynków zakonu nie będzie usprawiedliwiony przed nim żaden człowiek”, napisał ap. Paweł, „gdyż przez zakon jest poznanie grzechu” (Rzymian 3,20). „Albowiem łaską jesteście zbawieni przez wiarę, i to nie z was; Boży to dar; nie z uczynków, aby się kto nie chlubił” (Efezjan 2,8-9).

Pasażerowie odrzutowców mających kłopoty zwykle nie szturmują kabiny, by wziąć stery w swoje ręce i nie spychają pilota z jego fotela. Jednakże w kwestii zbawienia mamy dokładną taką tendencję. Zamiast przez wiarę przyjąć łaskę, staramy się wypracować Bożą przychylność poprzez swoje dobre uczynki. Zamiast zaufać temu, czego Jezus dokonał na krzyżu, konstruujemy własny system sprawiedliwości. Jest to szczyt duchowej głupoty.

Wszystko, co musimy zrobić, to zaufać Temu, który siedzi za sterami. Słuchać jego instrukcji. Wypełniać Jego polecenia. Bez wahania być Mu posłusznymi. A zarazem uświadomić sobie, że nie zbawiamy siebie przez nasze upamiętanie, nasz chrzest, nasze modlitwy, nasze naśladowanie Chrystusa uczynki. Jezus jest pilotem - Zbawicielem, a my zwykłymi pasażerami-uczniami, którzy uczą się zaufania do Niego, że przep-

Lato z CHSA — letnie obozy studenckie:

- a) **LEOn '90:** Letni Ewangelizacyjny Obóz nadzwyczaj interesujący, niewiadomo — jeszcze gdzie na Mazurach w terminie 10-20 lipca. Głównym mówcą będzie Nigel Lee z Wielkiej Brytanii.
- b) **Ostróda '90** — tygodniowe szkolenie dla tych, którzy pragną działać w naszych grupach na terenie wyższych uczelni. Termin: 27.08.90 do 02.09.90, temat: „Przygotowanie i prowadzenie Ewangelizacyjnych Studiów Biblijnych”. Głównym mówcą będzie Chinka z Honolulu, ADA LUM.

Wszelkie informacje, zgłoszenia uczestnictwa są przyjmowane przez:

Chrześcijańskie Stowarzyszenie Akademickie
40-954 KATOWICE, skr. poczt. 412.

rowadzi nas przez tę niebezpieczną podróż. Ze stawi nas nienagannymi przed tronem. Ze bezpiecznie wylądować z nami w niebie.

Nasze doświadczenie — To, co ma miejsce w procesie zbawienia można opisać przy pomocy najróżniejszych przenośni. Każda z nich jest jednak tylko przenośnią i nie stanowi wyjaśnienia procesu, który jest bardziej skomplikowany i święty, niż jesteśmy w stanie pojąć.

Pomyśl sobie, ile razy do dzisiaj tych 345 ludzi opowiadało tę historię, używając własnych ilustracji, usiłując przekazać, co im się przydarzyło — starając się odmalować innym swoją przygodę. Każde opowiadanie jest inne, opowiadane jest bowiem z perspektywy danej osoby. Każde jest jednak również takie samo, gdyż każdy przeżył takie samo doświadczenie — przejęcie z tego, co wydawało się pewną śmiercią, na bezpieczny ląd.

Biblia mówi do człowieka, który jest zniewolony przez seks, narkotyki czy pożądanie, i przedstawia doświadczenie zbawienia jako „odkupienie”. Jezus jest tym, „który dał samego siebie za nas, aby nas wykupić od wszelkiej nieprawości i oczyścić siebie lud na własność, gorliwi w dobrych uczynkach” (Tytusa 2,14). Mówi ona do zaniedbanych, pokrzywdzonych i samotnych, i opisuje zbawienie jako „adopcję” do rodziny Bożej. „W miłości przeznaczył nas dla siebie do synostwa przez Jezusa Chrystusa według upodobania woli swojej” (Efezjan 1,5). Zwraca się do pokonanej i załamanej osoby, która nie widzi żadnego sposobu rozwiązania chaosu w swoim życiu i płacze za szansą rozpoczęcia życia od nowa z czystą kartą, opisując zbawienie jako „narodzenie na nowo”. „Ale gdy się objawiła dobroć i miłość do ludzi Zbawiciela naszego, Boga, zbawił nas nie dla uczynków sprawiedliwości, które spełniliśmy, lecz dla miłosierdzia swego przez

kąpiel odrodzenia oraz odnowienie przez Ducha Świętego, którego wylał na nas obficie przez Jezusa Chrystusa, Zbawiciela naszego” (Tytusa 3,4-6; por. Jan 3,1 i nast.).

Ja uczestniczyłem tylko w jednym locie, który był tak zagrożony, że pasażerowie urządzili owację kapitanowi, gdy bezpiecznie doprowadził statek na ziemię. Uważałem za stosowne pójść do kabiny pilotów, uściskać jego dłoń i powiedzieć, jak bardzo jestem mu wdzięczny. A jak to musiało wyglądać podczas lotu nr 811! Ci ludzie nigdy nie przestaną śpiewać pochwał na cześć kapitana Davida Cronina.

I taka jest w skrócie misja Kościoła: śpiewanie pochwał na cześć naszego Zbawiciela. To jest powód naszego istnienia. Usprawiedliwienie naszej egzystencji. Dawanie ludziom możliwości poznania jedynej nadziei, którą ma każdy z nas.

OFIARY NA WYDAWNICTWO

H. Fabiańska, Grójec - 5 000 zł; G. Schwartz, USA; - 20 dol.; Zbór KZCh, Sosnowiec - 40 000 zł; Biblioteka Franciszkanów, Katowice - 800 zł; Biblioteka Wyższego Seminarium, Obra - 2 000 zł; S. Bienkiewicz, Opole - 3 000 zł; J. Kajfosz, Kraków - 10 000 zł; J. Pierzchała, Zielona Góra, 5 000 zł; Kościół Chrześcijan Baptystów, Gdynia - 24 000 zł; Biblioteka Seminarium Duchownego, Włocławek - 1 500 zł; K. Krystoń, Poznań - 10 000 zł; Z. Szymczuk, Holonki - 25 000 zł; P. Maziec, Gubin - 6 000; Towarzystwo Ewangeliczne, Katowice - 2 000 zł; ks. R. J. Pardas, Tomaszów - 2 000 zł; E. Dąbrowski, Terespol - 3 000 zł; T. Lipert, Malbork - 6 000 zł; J. Kwiatkowski, Olsztyn - 2 000 zł; Zbór KZCh, Rybnik - 150 000 zł; Kościół Chrześcijan Baptystów, Katowice - 5 000 zł; C. Łukasiewicz, Lublin - 5 000 zł; A. Janusz, Rzeszów - 4 000 zł; Redakcja „Głos Prawdy”, Rymanów - 30 000 zł; M. Kobus, Warszawa - 5 000 zł; Zbór KZCh, Muratyn - 100 000 zł; J. Dratwińska, Leszno - 5 000 zł; R. Głoński, Bukowice - 5 000 zł; Kościół Zielonościowy, Głogów - 10 000 zł; S. Jasina, Elbląg - 5 000 zł; R. Mierzwiak, Franca - 10 000 zł; Zbór KZCh, Sosnowiec - 50 000 zł; Zbór KZCh, Gryfice - 50 000 zł; H. Fabiańska, Grójec - 10 000 zł; B. Kuźniar, Olsztyn - 8 600 zł; J. Iwankowicz, Sapolno - 3 000 zł; J. Janosik, Śrem - 2 000 zł; P. Prus, Hajnówka - 10 000 zł; Biblioteka Seminarium Duchownego, Łódź - 4 000 zł; J. Löffler, Piotrków Trybunalski - 3 000 zł; M. W. Adamczyk, Sosnowiec - 1 000 zł; J. Sikora, Bochnia - 2 000 zł; Chrześcijańska Społeczność, Warszawa - 20 000 zł; A. Matwiejczuk, Chodzież - 5 000 zł; R. Kwoka, Świdnik - 25 000 zł; T. Mendoń, Witkowo - 1 000 zł; Z. Szymczak, Bydgoszcz - 3 000 zł; J. Kwiatkowski, Mysłowice - 2 000 zł; J. Olczyk, Tarnowskie

Góry - 6 000 zł; Stacja Misyjna KZCh, Maków Mazowiecki - 50 000 zł; J. Maksymiuk, Chełm - 7 000 zł; Z. Kosiński, Gliwice - 3 000 zł; Kościół Zielonościowy, Głogów - 20 000 zł; Zbór KZCh, Gdynia - 50 000 zł; Zbór KZCh, Połczyn Zdrój - 200 000 zł; Zbór KZCh, Biała Podlaska - 154 000 zł; W. Troszczyłow, Letnica - 5 000 zł; J. Szymanowski, Poznań - 10 000 zł; K. Gofryk, Głogów - 5 000 zł; A. Kozak, Olsztyn - 4 000 zł; S. Garbowski, Głubczyce - 5 000 zł; S. Fronczak, USA - 20 dol.; Kościół Ewangelicznych Chrześcijan, Turek - 10 000 zł; Zbór w Gródku, Zaolzie - 100 000 zł; „Tody”, Białystok - 100 000 zł; L. Benek, Gacztowice Zd. - 10 000 zł; J. Gintout, Olsztyn - 50 000 zł; H. Noga, Skoczów - 10 000 zł; S. Bienkiewicz, Opole - 10 000 zł; Ewangeliczna Wspólnota Zielonościowa, Wola Piotrowa - 50 000 zł; L. Szenderowski, Warszawa - 5 000 zł; E. Barczuk, Głubczyce - 20 000 zł; Zbór KZCh, Siemiatycze - 200 000 zł; Zbór KZCh, Dąbrowa Górnicza - 100 000 zł; Chrześcijańska Społeczność, Warszawa - 21 410 zł; ks. A. Liszkiewicz, Opole - 6 000 zł; Kościół Zielonościowy, Szczytno - 12 000 zł; J. Cholewa, Ustroń - 30 000 zł; M. Baran, Świnoujście - 10 000 zł; M. Przyjemski, Sosnowiec - 3 000 zł; H. Świdorski, Olsztyn - 25 000 zł; P. A. Skiepmo, Międzyzdroje - 5 000 zł; K. Mołęda, 10 000 zł; Zbór KZCh, Białogard - 400 000 zł; Kościół Ewangelicznych Chrześcijan, Jelenia Góra - 20 000 zł; Kościół Zielonościowy, Głogów - 50 000 zł; K. Domańska, Nowy Targ - 15 000 zł; Kościół Zielonościowy, Żabkowice Śl. - 50 000 zł; A. Janusz, Rzeszów - 6 000 zł; Zbór w Gródku, Zaolzie - 70 000 zł; Kościół Ewangelicznych Chrześcijan, Wodzisław Śl. - 146 000 zł.

Wszystkim ofiarodawcom serdecznie dziękujemy.

Listę ofiar wpłaconych na nasze czasopismo będziemy kontynuowali (red.).

5 - 6/90

SŁOWO I ŻYCIE

RECENZJE I OPINIE

Jeśli miałbym polecić komuś jakąś dobrą książkę science-fiction, bez wątpienia wskazałbym na „Z MILCZĄCEJ PLANETY” angielskiego pisarza C.S. Lewisa. Jest to bowiem pozycja wyjątkowa na naszym księgarskim rynku. Najlepszą rekomendacją jest już samo nazwisko autora - twórcy znanych zbiorów esejów: „Bóg na ławie oskarżonych”, „Listy o modlitwie i moralności”, „Cudy”, „Ziarna paproci i słońce” oraz popularnych baśni dla najmłodszych, w których przybliża dzieciom chrześcijańskie pojęcia i wartości.

„Z MILCZĄCEJ PLANETY” jest częścią „Trylogii międzyplanetarnej”. Napisana jest błyskotliwym, logicznym i klarownym językiem, tak przecież charakterystycznym dla publikacji C.S. Lewisa. Książka nie odbiega zbyt daleko od pewnych szablonów literatury fantastycznej; występują w niej przecież pozaziemskie cywilizacje (podobnie jak w twórczości Wellsa czy Lema), stojące na o wiele wyższym szczeblu rozwoju niż nasza. Autor przenosi nas w świat inny, chociaż tak bardzo powiązany z naszym.

Tam, na innej planecie, gdzie rozgrywa się akcja, wszystko jest piękne i czyste, brak jest zła, nienawiści, wrogości czy zakłamania. Wszystko jest proste i uporządkowane. Życie na tej planecie jest idealnym przeciwieństwem życia na Ziemi, jest jakby wyzwaniem lub raczej bodźcem do walki o życie z Bogiem. Tak, z Bogiem, gdyż „ufo-

ludki” mają świadomość istnienia Stworzyciela, są od Niego w swej egzystencji całkowicie zależne i oddane. Nie znają Ziemi, ich skomplikowanej natury, ich duchowego upadku. Planeta, na której żyją ludzie, jest dla nich „milczącą”, gdyż wszelki kontakt z nią został przerwany z chwilą odejścia pierwszych ludzi od Najwyższego. Wiedzą natomiast, że „milczącą planetą” rządzi duch, który sprzeciwił się Bogu.

Narrator zapoznaje swych czytelników z głównym bohaterem, dr Ransomem, a jednocześnie sprawia, że stają się oni jakby uczestnikami przeżyć tej postaci. Czytelnik nie nudzi się, ale coraz bardziej angażuje w dynamiczną akcję, przeżywając wraz z bohaterem uczucia strachu, zachwyty czy zdziwienia. Szczególnie interesujący wydał mi się list dra Ransoma do autora książki. Zapewne, gdybym nie żył pod koniec XX wieku, uwierzyłbym po przeczytaniu go, że te wymyślone wydarzenia miały miejsce naprawdę — tak bardzo jest sugestywny.

Na pozór wydawać się może, że tematem tej książki są przeżycia ludzi na obcej planecie lub religijno-moralne sugestie Lewisa, ale w rzeczywistości tok narracji dąży do jednego kulminacyjnego punktu — śmierci Jezusa Chrystusa na Golgocie. Choć w całej książce nie pada ani jedno słowo na ten temat, czytelnik wyczuwa, jakiego znaczenia nabiera ta ofiara, która nieznaną wśród „ufołudków” (bo dotycząca tylko Ziemi), niby tajemniczym echem roznosi się po całym Wszechświecie, jako dzieło miłości. I taką odnajduje ją czytelnik.

Na pewno niejedną osobę zastanowi celowość pisania „chrześcijańskich fantastyk”. Myślę jednak, że prawdę można przedstawiać w różnoraki sposób, niekoniecznie trzymając się jednego określonego szablonu, byle tylko odnosiło to pożądanego skutku. W świecie, gdzie wciąż męczęńska śmierć Boga na krzyżu jest dla wielu głupstwem, taka pozycja może mieć wpływ na kształtowanie się postaw i myśli ludzkich. Sam autor również daje odpowiedź na to pytanie: „W każdym razie to, czego nam w tej chwili potrzeba, to nie jakaś wiara, mniej lub bardziej powszechna, w to wszystko (co opisane w tej książce — przyp. red.), lecz raczej grupa ludzi zaznajomionych z pewnymi ideałami. Jeśli uda się nam dokonać, by chociaż jeden procent czytelników zmienił swoją koncepcję „przestrzeni kosmicznej” na koncepcję „niebios”, zrobimy dobry początek.”

Kończąc dodam, że dla mnie książka ta jawi się jako wielka epopeja chrześcijańska, wychodząca poza ramy naszego świata, przenikająca cały kosmos swoim zbawczym charakterem — Bożą niezniszczalną miłością. Dlatego warto ją przeczytać.

MAREK M.

C.S. Lewis Z milczącej planety

